№ 45. Warszawa, dnia 25 Października (6 Listopada) 1886 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie .r 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 5, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

STUDYUM LITERACKIE.

Artykuł pana Koldy Malińskiego, pomieszczony w poszycie 5 Sbornika Slovanskego.

„Częste były stosunki — powiada p. Maliński — narodu czeskiego z narodem dawnej Polski za czasów ich niezawisłości, a jedno z pierwszych miejsc między temi stosunkami zajmują związki małżeńskie między panującemi rodzinami obu narodów. Od związku Mieczysława I z księżniczką Dubrawską, córką Bolesława I, księcia czeskiego, t. j. od r. 965 do r. 1719, kiedy August III, król polski, pojął za małżonkę Maryą Józefę, córkę Józefa I, króla czeskiego, upłynęło prawie ośm wieków, ale przez długi ten przeciąg czasu trzy królewskie córy polskie zasiadały na tronie czeskim: Swatawa, małżonka Władysława II; Elżbieta, małżonka Sobiesława II i Rejczka, małżonka Wacława II. Skromna to liczba, ale skromność ta znika, jeżeli weźmiemy pod uwagę, jak wielkie zasługi położyły te szlachetne niewiasty polskie dla narodu czeskiego. Jest-to trójca jaśniejących gwiazd, które jak zwiastunki lepszej przyszłości, przyszły do nas od Wschodu, naród czeski błogosławił je za życia ich, błogosławił je i po śmierci; niech skromne to wspomnienie odnowi i ożywi w sercach Czechów pamięć kobiet, które ze wszech miar na to zasłużyły."

Przytoczyliśmy początek w dosłownem tłomaczeniu, aby Czytelniczki mogły się przekonać w jak sympatycznym dla nas tonie napisana cała rozprawka. Teraz przystąpimy do streszczenia.

Pierwszą z księżniczek polskich, która zasiadła na tronie czeskim, była Swatawa czyli Świętosława, córa Kazimierza I Odnowiciela, króla polskiego i Maryi Dobrogniewy, księżniczki ruskiej. Ojca straciła wcześnie (1058 r.), miała bowiem dopiero lat ośm, na tron wstąpił brat jej Bolesław Śmiały, który, jak z innymi sąsiadami, prowadził też wojnę i z księciem czeskim Wratysławem II-im. O wojnie tej mało mamy wiadomości.

Wiadomo tylko, że Wratysław, któremu w 1062 roku zmarła druga jego żona, piękna Adleta Węgierska, traktując o zawarcie pokoju, prosił Bolesława o rękę siostry jego Swatawy i otrzymał ją. Zaślubiny odbyły się uroczyście 1063 r.

Tak znalazła się księżniczka polska przy boku jednego z najpotężniejszych władzców czeskich, który czynnem wystąpieniem w sporze cesarza z papieżem, taką wdzięczność zasłużył u Henryka IV, że ten go razem z małżonką, jak świadczy latopisiec Jana z Heimburga, własnoręcznie koroną królewską ozdobił. Aby zaś mocniej jeszcze sprzymierzeńca do siebie przywiązać, posłał sam Egilberta, arcybiskupa Trewirskiego z Wratysławem do Czech, a ten w dzień św. Wita, publicznie i uroczyście koronował go razem z żoną w katedrze w Pradze.

Nie był jednak dla Swatawy tron czeski wysłany różami. Sześć lat siedziała na nim przy boku małżonka, a cały ten czas zatruty miała ciągłemi swarami króla z najstarszym synem Brzetysławem, pasierzbem Swatawy, który nie tail się wcale z nieprzyjaźnią dla macochy i jej dzieci. Gdy zaś 14 Stycznia 1092 roku Wratysław na łowach życie stracił, a Brzetysław prawem starszeństwa na tron wstąpił, oddaliła się szlachetna niewiasta do wdowiego udziału swego w żupie rzeczyckiej nad rzeką Żeliwcem. Wiadomość o tej wdowiej posiadłości pierwszej królowej czeskiej, posiadamy z dokumentów wnuka jej Sobiesława II i prawnuka Henryka. Podług papierów tych należało do niej 2 miasteczka, 29 osad i 27 wsi. Siedziba Swatawy była jak się zdaje, osadą, zwaną od królewskiej swej mieszkanki Kralowicami, a być może, że przez nią samą założoną. W tem ustroniu przeżyła Swatawa jednym ciągiem około lat 20. Wprawdzie po śmierci Brzetysława w 1100 roku, wstąpił na tron syn jej Borzywój, lecz po siedmioletniem, ciągle przerywanem walkami panowaniu, wygnany został przez Svatopluka i dopiero, gdy ten w skutek zemsty w 1109 roku zamordowany został, zasiadł

na kamiennym tronie książąt czeskich drugi syn Swatawy Władysław. I ten nie miał chwili spokojnej. Rozpoczęła się walka między trzema rodzonemi braćmi. Upomniał się Borzywój o tron ojcowski, Bolesław III, król polski, chciał znowu posadzić na nim najmłodszego syna Swatawy Sobiesława. Biedna matka każdemu dobrze życząca, starała się ich godzić i wreszcie pod koniec życia dopięła swego, zdołała bowiem pogodzić umierającego Władysława z Sobiesławem, który też po bracie został królem czeskim. Doczekała Swatawa późnej starości, widziała najukochańsze swe dziecię na ojcowskim tronie, ale nić życia jej dobiegła do końca i Swatawa przekazawszy swą wdowią posiadłość kapitule wyszogrodzkiej, którą wraz z mężem założyła, zmarła syta życia i zasług dnia 1 Września 1126 r.

Dajemy znowu głos panu Malińskiemu:

„Naród polski — powiada sympatyczny Czech— dał nam pierwszą naszą królowę, która była dla nas aniołem pokoju i wychowała nam jednego panującego niezrównanej dobroci, a dwóch odznaczających się cnotami rycerskiemi. Zasługa to, jaką zwykle pomnikiem czcimy, lecz ona i ten sama sobie wystawiła, boć dotąd wznosi się nad prochem jej wspaniała bazylika wyszehradzka, w której cieniach naród złożył na wieczny spoczynek tak wielu swych bohaterów."

Wnuk Swatawy, Sobiesław II, posadził u boku swego na stolicy czeskiej znowu królewską córę narodu polskiego. Była to Elżbieta, córka Mieczysława III (Starego). I tej księżniczce nie dał tron czeski chwil złotych. Mąż jej, jedyny czeski książę demokrata, przeżył pięć lat swego panowania w ciągłej walce z nieprzyjaznym losem, który go dręczył, a jednak „wszecko jeho snaženi (staranie)", jak opowiada współczesny mu opat Jarłoch, „cela mysl jeho nesla se k' tomu, chraniti chude a zachovavati zemie sve prava." Piękne to świadectwo!

(*Dokończenie nastąpi.*)

REZYGNACYA.

PRZEZ

Eryka Sjöberga.

Ze szwedzkiego przełożył

A. L.

Czemuż nie mam spokojnie znosić mojej doli?
Ona była aniołem danym mi przez Boga.
Czemuż mam chcieć przeniknąć tajnie Jego woli?
Czemuż pytać Go, jaka jej przeznaczeń droga?

Jak ptaszę, co spoczywa pod skrzydłem macierzy,
Tak ja na jej ramieniu czułem ducha ciszę,
I oto śmierć w nią grotem swym zatrutym mierzy,
Lecz ja zwyciężę boleść, choć boleścią dyszę.

Jak biała gołębica, co się w niebo wznosi,
Ku gwiaździstym błękitom, mknąc w Boga siedlisko,
Tak i ona, świetlana, stojąc Boga blizko,
Tak cichutko mu szepcze, tak serdecznie prosi:

O Panie, przyjmij, mówi, drobną mą ofiarę
Ty serce me przenikasz, ty znasz me błaganie!
O, błagam Ciebie, Ojcze! tę miłości czarę,
Którą dałeś mi pełną, oddaj jemu, Panie!

OCALONY.

NOWELLA

odznaczona zaszczytnie na konkursie Tyg. Illustrowanego.

SKREŚLIŁ

Anatol Krzyżanowski

> L'amour est une ivresse continuelle,
> C'est la fievre de la raison.
> *La Rochefoucault.*

Piękny dzień czerwcowy roztaczał dokoła swe blaski, złocąc jasnemi promieniami kwiaty i drzewa, nadając całej przyrodzie wyraz pogody, wśród którego wszystko zdawało się uśmiechać do życia, pić pełnemi ustami z czary słodyczy i szczęścia. Spokój, niczem niezamącony spokój panował w przestworzu, skrzydlata dziatwa tylko gwarzyła wesoło, a drzewa osłaniające ją swym cieniem, powtarzały z tajemniczym, żartobliwym półszeptem, echo tego leciuchnego świegotu, co złączony z balsamiczną róż wonią, biegł dalej na skrzydłach letniego powiewu.

Wśród tego morza blasku, rozłożyste konary lip, osłaniały cieniem swym duży dwór wiejski, przepuszczając gdzieniegdzie tylko, potok złocistego światła, za ściany jego bluszczem spowite i na grupę malowniczą, odbijającą wyraźnie od ciemnych zwoi winogradu. Figlarne promienie igrały wtedy kapryśnie na poważnej postaci ciemnowłosego mężczyzny, ujawniając tem silniej kontrast, jaki istniał między 40-letniem może, regularnem i sympatycznem, lecz surowem jego obliczem, a uroczą, siedzącą obok towarzyszką. Piękne dziewczę, wsparłszy lekko głowę na dłoni, odbijającej alabastrową białością, od bujnych, kasztanowatych splotów, czytało z takiem zajęciem, iż tylko brzmienie czystego głosu i zaróżowione nieco lica, zdradzały wrażenie, jakie czyniły na niej krwawe dzieje „Rewolucyi Francuzkiej", w której szczytna idea wolności, zamiast przynieść światu spełnienie marzeń jego i nadziei, zamieniła się w rozpaczną orgią ludzkich namiętności.

Wtem długie jej rzęsy podniosły się, a wielkie czarne oczy skierowały ku siedzącemu naprzeciw mężczyźnie, pozwalając ocenić wdzięk niezwykły kobiety, w której wpierw uderzał nas profil klasyczny, o greckim nosku ściętym prosto, o delikatnym owalu i drobnych, malinowych usteczkach. Te wielkie, powagą jaśniejące źrenice, w których głębi palił się jakiś płomień smętny, nadawały cały wyraz młodziutkiej twarzyczce, czyniąc ją niepospolicie piękną i uroczą.

— Słowa powyższe zdają się wskazywać — wyrzekła — iż Carlyle podzielał w zupełności zasady tych, którzy pierwszy przygotowali wybuch, że rewolucyonistów sympatyą swą otacza?

— Bo też tak było w rzeczy samej, bo genialny człowiek ten, pojął iż pomimo wszystkich okrucieństw swych, wielki kataklizm dziejowy, jaki Francya przeszła ówcześnie, był dla ludzkości zbawiennym krokiem naprzód, przełomem, który jej otworzył nowe widnokręgi i pola do działania. Epoka strupieszałości i znikczemnienia doszła do takiego szczytu, że nareszcie naród otrząsnąć się z niej musiał. Wszak i my równocześnie przechodziliśmy chwilę strasznego przebudzenia, ze snu trwającego zbyt długo. Francuzi wyszli zwycięzko, myśmy upadli, gdyż nadwątlony organizm za mało posiadał sił żywotnych, starczyło mu ich zeledwo na walkę z sobą, na podniesienie własnego ducha, zabrakło na bój z chciwemi łupu szponami...

Mówił gorąco, ze wzrastającym zapałem, a oczy kobiety błyszczące inteligencyą i pojmujące niedopowiedziane nawet wyrazy, nie opuszczały ani na chwilę jego rysów.

— Gorycz Carlylea daje się łatwo tłomaczyć — ciągnął dalej. — Będąc sam dziecięciem ludu, patrząc na wiekowe jego krzywdy i ucisk, na poniżenie i nicość moralną tych, którzy nim rządzili, musiał rozdziały podobne krwią prawie własną pisać. Genialny syn malarza, doszedłszy do sławy i rozgłosu, nie zapominał wśród salonów, hołdującej mu arystokracyi, o latach pracy i ubóstwa spędzonych za młodu, a kontrast ten może właśnie, wyrobił w nim tę demoniczną siłę satyry, ten sarkazm, którym chłoszcze bez miłosierdzia wady społeczne.

Szelest lekkiej sukni kobiecej, przerwał mu dalsze słowa. Na progu stanęło złotowłose, jak jutrzenka różowe dziewczątko i zawołało gniewnie.

— Wujaszku, mantyko, doprawdy nie masz sumienia, zanudzając Maryjkę tą suchą lekturą i to wtedy właśnie, gdy nam jest potrzebną. Zabieram ją przemocą.

I nie znosząca oporu Wanda, uprowadziła ze sobą towarzyszkę.

W ślad za nimi, jak gdyby mimowolnym pociągnięty magnesem, szedł Zygmunt Zapolski. Zdawało się, że ta wysmukła postać ciemnowłosego dziewczęcia w szacie białej, której miękkie fałdy tak malowniczo się układały, przykuwa go do siebie bezwiednie.

Czas jakiś przyglądał się grze w krokieta, w której kilka osób brało udział, znalazłszy się zaś na chwilę obok Maryi, zatrzymał poważny wzrok na delikatnym jej profilu, i zapytał głosem w którym dziwny drgał smutek:

— W słowach Wandy, jak w każdym żarcie, połowa mieści się prawdy i pani więc pewno masz żal do mnie, że zamiast mówić o stroju i zabawie, ja cię suchemi nudzę przedmiotami.

— Żal? — powtórzyła — cóż za myśl? Głęboko wdzięczną tylko opiekunowi memu być mogę. Dla Wańdzi życie jednym snem będzie, dla mnie jednym ciągiem pracy, inaczej się więc niż ona przysposobić do niego muszę.

— Życie dla wszystkich jest pracą — podjął poważnie.

— Wiem o tem, a wiem dzięki panu — dodała ze wzruszeniem. — Och! bo też wszystko, czem jestem, wszystko co umiem, panu tylko i pańskiej matce zawdzięczam. Czemże byłaby nieszczęsna bez dachu i rodziny sierota, gdyby nie wasza szlachetna opieka? Wyście mnie przygarnęli jak własne dziecko prawie, dając nietylko chleb powszedni, ale i chleb ducha, robiąc z prostaczka, człowieka równego sobie umysłem i wiedzą, to też, gdy dziś zbliża się coraz więcej chwila rozstania, smutno mi, bo rozłąka z matką pańską, z domem

w którym się czuć i myśléć nauczyłam, będzie pierwszą w życiu mojem ciężką boleścią.

Mówiąc o żalu rozstania, imię jego opuściła, gdyż dziwny jakiś instynkt powstrzymywał jej takowe na ustach.

Zygmunt nie spostrzegł tego wszakże, jeden bowiem wyraz pochłonął całą jego uwagę.

— Rozłąka? Co to ma znaczyć panno Maryo? Skąd ta myśl nagła a niezrozumiała? Czy cię w domu naszym spotkało co przykrego?

Wielkie jej czarne oczy spoczęły z wyrzutem na mówiącym.

— O, nie! Tu wszyscy umieją tylko psuć Maryjkę, aby jej później świat obcy więcej zimnym się zdawał.

— Ale pocóż miałabyś go poznawać, moje dziecię?

— I ty, mój opiekunie pytasz mnie o to? Ty, który mówiłeś mi wielokrotnie, że człowiek nie ma prawa żyć z cudzej pracy i być pasożytem. Każdy musi zostać użytecznym; każdy powinien chleb spożyty uczciwie zarobić, to prawo natury, wcześniej czy później, zacząć jednak potrzeba. Skończyłam lat ośmnaście, czy sądzisz pan więc, że duma pozwala mi wieść dalej życie bezczynne, stroić się w kosztowne suknie i być ciężarem komukolwiek?

Zygmunt patrzył na nią ze smutkiem, w końcu zaś, wskazując na czoło jej pochylone pod koroną splotów ciemnych i wracając do imienia jakie jej przez długie dawał lata, zapytał:

— Maryjko, zkąd w tej małej główce takie się myśli wzięły? Co do kosztownych sukien, te w całości są twoją własnością, bo ci ojciec zostawił fundusze; co do użyteczności zaś, czy sądzisz, że matka moja i Wańdzia umiałyby się obyć bez ciebie, że po to wychowaliśmy złotą ptaszynę, aby nam uleciała z pierwszym słońca powiewem? Czy wreszcie staremu twemu opiekunowi nic się nie należy? Któż mu będzie czytywał?

Dziewczę smutnie spuściło główkę.

— Nie wiem — szepnęła. — Ale patrz pan — dodała wskazując na zbliżającą się Wandę z narzeczonym — ją prędko ztąd zabiorą, marszałkowa pojedzie do wnuczki, a dla mnie... nie będzie już miejsca tutaj — zakończyła ciszej. — Sierota musi iść szukać chleba u obcych.

— Wszak i ty za mąż pójść możesz?

— Cóż znowu? Zapominasz opiekunie, że psuta przez was Maryjka, jest w oczach świata, tylko... córką ekonoma.

— Ależ dziecię...

— O tak, paryą wśród ludzi „dobrze urodzonych", balastem powiększającym proletaryat umysłowy, przewróconą głową, która bez antenatów i majątku, pozwala sobie jednak miéć serce i myśli, pozwala czuć głęboko i kochać tych, co jej te widnokręgi otworzyli, co ducha jej podnieśli. Och, to też dobroci waszej, Maryjka nigdy, nigdy nie zapomni!

Podniosła śliczne, czarne oczy, w których głębi łza czysta błyszczała i rzuciwszy mu pełne wdzięczności spojrzenie, oddaliła się zwolna.

Zygmunt patrzył z podziwem na tę wysmukłą postać w bieli. Co się stało spokojnej i poważnej zwykle Maryi? Skąd ten wybuch w istocie, która nie miała zwyczaju, odsłaniać tak łatwo duszy swej tajników? Wobec tego nowego zwrotu pamięć Zapolskiego mimowoli w przeszłość pobiegła.

Korzystając z tego, sprobujmy również zapoznać się bliżej z dziejami jego rodziny.

. . . .

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OBOJE.

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

III.

W salonie uderzył ich dziwny widok. Drzwi były na roścież otwarte, a na progu stał nizki, grubawy mężczyzna, w wysokich butach ze skóry jałowiczej, w szarym kubraku, przepasanym rzemieniem, którego końce nasztukowane były szpagatem. Na głowie nasadzoną miał czapkę futrzaną, mocno wytartą. Na lśniącej posadzce, nad którą Kuba od rana pracował, leżała brunatna bunda, szarem płótnem podszyta. Były na niej widoczne ślady długiego żywota, a z tych można było odgadnąć, że była ona częściej pod wozem, niżeli na wozie. Przy niej jakby wierna jej przyjaciółka, leżała krótka fajeczka wraz z krzywym cybuszkiem zgrabnie przed domorosłego artystę z leszczyny wystruganym.

Przysadkowaty jegomość obrócony był tyłem i dawał właśnie rozkazy jakiemuś obdartemu tragarzowi, który na ramieniu trzymał sporą skrzynkę, żelazem okutą a w ręku tobołek, w którym prawdopodobnie mieściła się pościel podróżna.

— Tutaj, tutaj — wołał jegomość basowym głosem, pokazując krótkiemi palcami w tył po za siebie.

— Nie można — protestował Wincenty, którego krawat biały zbakierował się pod szyją wyjątkowem jakiemś zdarzeniem.

— Milcz błaźnie! — krzyczał impetyczny jegomość — bo mogę poprawić i przyczynić... twoje psie prawo jest służyć i słuchać!

Rzekłszy to, wziął skrzynkę z ramienia tragarza a uderzywszy nią kilka razy o lśniący lakier odźwierza i zawadziwszy po drodze o piec porcelanowy, umieścił ją pod ścianą, tuż koło złoconej konsoli, podtrzymującej olbrzymie, kryształowe zwierciadło. Potem dorzucił do niej tobołek z pościelą, bundę i kilka mniejszych rupieci, widocznie w długiej podróży zbrukanych.

Po tej pracy wyprostował się i w lepszym już nieco humorze, zaczął szukać w kaletce skórzanej.

— Tam do kata — mruknął pod nosem — nie ma ani szeląga! Co to podróż kosztuje!... No przyjacielu — dodał zwrócony do lokaja — jeżeli chcesz byśmy w zgodzie byli, to daj dziesiątkę temu zacnemu obywatelowi, który moje manatki z dworca kolei dźwigał.

Wincenty, który jeszcze do równowagi nie przyszedł, uznał za stosowne uczynić zadość impetycznemu człowiekowi, a potem powziąć jakie postanowienie stosowne do zaszłego wypadku.

Tymczasem udobruchał się nieznajomy jegomość i sięgnął po fajeczkę, która na ziemi leżała.

— Gdybyś nie był ze mną robił ceregeli — rzekł z uśmiechem do lokaja, nie byłbyś się dowiedział, jak cię ludzie po za oczy nazywają i fajka nie byłaby zagasła. Czy masz ogień?

Lokaj zawahał się tym razem. Czuł fajkę z daleka choć była zgasła a cóżby dopiero gdyby się w niej tytoń zapalił?

Na szczęście, nieznajomy gość nie potrzebował od niego ognia. Pomiędzy okruszynami chleba znalazł w kieszeni kilka zapałek. Posunął jedną po cholewie i zapalił fajkę. Żółto białawy dym buchnął z pod siwych jak szczecina zjeżonych wąsów.

Dym ten poprawił do reszty jego humor. Obrócił się teraz frontem do salonu.

W salonie przy drzwiach gabinetu, stała ciocia nieruchoma jak posąg. Za nią ukrył się pan Ludwik zostawiając doświadczonej krewnej honor pierwszego ataku.

— A — zawołał jegomość z krótką fajeczką — kogoż ja widzę! kochana kuzynka, panna... czy panna jeszcze?

Ciocia kiwnęła machinalnie głową.

— Panna Klementyna! Wieki nie widziałem! Słyszałem, że coś tam kręciło się wedle ślubu! I nic z tego?

— Pana Marcina nigdybym nie poznała — odszepnęła ciocia głosem bez dźwięku, podczas gdy pan Marcin ściskał jej rękę aż kości trzeszczały a w końcu w bufkę watowaną na ramieniu, głośno pocałował.

— A to będzie zapewne Ludwiczek — rzekł wskazując na młodego człowieka — patrzcie nawet stryjaszka nie poznał.

Pan Ludwiczek pobladł a potem zarumienił się. Machinalnie podał rękę nieznanemu dotąd stryjaszkowi, który za to kilka razy cmoknął go w grzywkę.

— Prawda — ozwała się ciocia — pan Marcin jest zimnym stryjaszkiem, bo ojciec Ludwika nie miał rodzonego brata.

— Mniejsza o to — mruknął pan Marcin — zawsze jedna krew. Jeżeli stado prosiąt w jednym chlewie chowanych trzyma się kupy, dlaczegóż mieliby ludzie jednej krwi rozbiegać się od siebie.

— Tak... ale jeśli nie wszyscy chowali się razem...

— No, przecież baba nie pójdzie na wojaczkę a chłop nie będzie łatał bielizny. Mój dziad był żołnierzem, ojciec był żołnierzem, a ja w młodym wieku byłem już wachmistrzem. Awansować nie mogłem bo już wojska naszego nie było. Zarabiało się na chleb jak można było pod strzechą rodzinną. Ciężka to była robota, bo jedna włóka ziemi na państwo i próżnowanie za mało. Do tego były kłopoty i nieszczęścia. Choroby i pogrzeby nawiedzały mnie, dzieciom trzeba było coś dać, gdy dorosły i tak zostałem uboższym od tych, którzy mnie ojcem nazywali, wreszcie wszystko pomarło. Ale człowiek mimo to nie narzeka na Boga i radzi sobie jak może i byłby nigdy tu do was nie przyjechał, gdyby nie ostatnie nieszczęście, które mnie całego inwentarza pozbawiło. Jak anioł z nieba przyszła do nas w samą porę nowina wesoła, że pan Ludwik ożenił się z panną milionową i że jest panem całą gębą. Otóż pomyślałem sobie: pojadę, powinszuję, da co dobrze, nie da nic podziękuję i za to, kontentując się tem, że jemu jest dobrze. Zawsze jednak znajdę u niego kącik

dla wypoczynku, po ktorym wrócę znów do mojej biedy. Nie zajmę wiele miejsca a jak widzę, próżnych izb macie bez liku. W razie potrzeby mogę i tu na podłodze się roztasować, na wojaczce to się nie wybierało.

Ciocia i pan Ludwik przyszli już teraz do siebie. Zagadka wyjaśniła się, ale to wyjaśnienie nie było dla nich zbyt miłe. Daleki krewny przypytał się do nich. Gdyby czas pozwolił, możnaby było z nim wejść w ugodę, czemś obdarzyć i pożegnać nie wciągając w to pani Aurelii, której nerwy były zbyt czułe na takie drobne cierpienia życia ludzkiego.

Stało się jednak inaczej.

Imci pan Marcin mówił jeszcze coś o swoich dzieciach, z których najlepiej powodzi się Nastusi, bo wyszła za porządnego oficyalistę, spalił przytem kilka zapałek z siarką, zapalając popiół w fajce i byłby jeszcze długo krewnych swoich bawił sprawami familijnemi, gdyby sobie nagle czegoś nie przypomniał. Uderzył się w czoło.

— Ja tu gawędzę — zawołał — a on tam na mnie czeka!

— Kto? — zapytali naraz jeszcze bardziej wystraszeni krewni.

— Obaczycie — odparł z jakąś miną tajemniczą i wypadł za drzwi.

IV.

Ciocia Klemusia i pan Ludwik stali jeszcze jakby rażeni od gromu. Nie wiedzieli co począć i jak wybrnąć z niemiłego położenia.

Pan Ludwik czekał co ciocia powie, ciocia milczała.

Tymczasem otworzyły się drzwi w przedpokoju i dał się słyszeć głos pani Aurelii.

— Co to za człowiek wybiegł ztąd tak spiesznie?

Wincenty jeszcze także nie był przyszedł do siebie. Tyle tylko wiedział, że do bogatych ludzi przybył biedny krewny. Z tego powodu darował już mu był obelżywe słowa, które przed chwilą usłyszał od niego.

— To krewny jaśnie pana — odpowiedział z pewnem wewnętrznem zadowoleniem.

— Cóż to za dym przeraźliwy?

— To z fajki tego pana.

Drzwi salonu rozwarły się na oścież. Pani Aurelia ujrzała pod zwierciadłem skrzynkę okutą żelazem, starą bundę i tobołek z pościelą. Stanęła jak wryta patrząc na męża i ciocię Klemusię, której zrazu wcale nie poznała.

Ciocia Klemusia odzyskała w tej chwili przytomność. Z uśmiechem pełnym słodyczy, zarumieniona szybszym obiegiem krwi, postąpiła naprzód i rzuciła się na szyję pani Aurelii.

— O moja droga, najdroższa Aurelciu! Jakże się cieszę, jak wielce jestem uradowaną, jak mocno czuję w tej chwili, że cię kocham nad życie.

Nowa ta niespodzianka przyćmiła nieco dawniejszą. Uściskała ciocię, ale uścisk ten był chłodny i nader konwencyonalny. Jak widmo złowrogie stała między nią a ciocią, skrzynka żelazem okuta, stara bunda wraz z tobołkiem i ów dym brudno białawy, który szeroką warstwą rozścielał się wygodnie po meblach adamaszkowych.

W nader krótkich słowach opowiedziała ciocia Klemusia powody swoich odwiedzin. Ciocia Taida (tak nazywała hrabinę w codziennej rozmowie) powzięła była zamiar zapisać jej majątek, ale krewni chcąc temu przeszkodzić, oddali ją pod obserwacyą lekarza psychiatrę. Dlatego musiała ją na jakiś czas opuścić, lecz sądzi, że wkrótce wróci do niej, a wróci, jak ma nadzieję uniwersalną jej sukcesorką.

Opowiadanie to okrasiło trochę skrzynkę prymitywną, bundę szarą a nawet na brudny tobołek rzuciło pokost artystyczny. Gdy twarz pani Aurelii po pierwszych wrażeniach już się nieco ożywiła, wzięła ją ciocia Klemusia za rękę i parsknęła głośnym śmiechem. Śmiała się długo i rozkosznie przygotowując tym sposobem panią Aurelią na coś bardzo zabawnego. Zrozumiała ten śmiech pani Aurelia.

— Przeczuwam coś — zawołała z wyrazem ciekawości patrząc z ukosa na manatki pod zwierciadłem — tylko prędzej ciociu!

— Przygotuj się na coś bardzo oryginalnego, coś w guście Dickensa!.. Daleki, bardzo daleki nasz krewny, dziwak jakich mało pod słońcem, przyjechał dzisiaj do was i jak widzisz tu w salonie pod piecem roztasował się. Gdybyś go ujrzała na ulicy, myślałabyś, że to żebrak... a to tym czasem, jak wieść niesie, bogacz niepospolity. Ma szczególną pasyą udawać biednego a nawet od służby pieniędzy pożyczać, a tu w tej skrzynce tak prywitywnej są same dukaty! Patrz, jaka ciężka.

Pani Aurelia z uroczym uśmiechem zbliżyła się do prostej, dębowej skrzynki, kowalską sztuką żelaznemi obręczami opasanej. Drobną rączką wzięła za antabę żelazną.

— Prawda, że ciężka! Ileż tam dukatów może się mieścić!

— Tysiące i tysiące... Prócz tego, muszę ci powiedzieć, że ta skrzynka jest ważnym dokumentem naszego rodu. Wacław Brański, rotmistrz chorągwi pancernej miał ją ze sobą pod Wiedniem, gdy z królem Janem ratował stolicę Austryi.

Z wyrazem pietyzmu spojrzała pani Aurelia na zacne drzewo genealogiczne Brańskich.

— Czy i ta bunda była pod Wiedniem? — zapytała z naiwną wiarą młodej kobiety.

Ciocia Klemusia zawahała się na chwilę.

— Ta bunda — mówiła zwolna — jeśli się nie mylę, należała do ojca, czyli dziada pana Marcina, który służył w legionach polskich.

— Zapewne była pod Samo-Siera?

— Prędzej na San-Domingo.

— Czy i ten tobołek ztamtąd?

— To późniejszy, z roku 1831.

— Widać że Brańscy to sami żołnierze... Tylko ty mój Ludwiczku kochany zbyt daleko od nich odbiegłeś!

Pan Ludwik zjeżył grzywkę jak lew wspaniałomyślny. Odzyskał dobry humor widząc w jak genialny sposób wydobyła go ciocia Klemusia z bardzo niemiłej sytuacyi.

— Od moich przodków — odparł dumnie — którzy byli wojownikami, nie odbiegłem tak daleko, jeżeli ciebie moja piękna Aurelio mogłem zawojować. Czy możesz to zaprzeczyć?

— Prawda, żeś mnie zawojował, ale czem, jaką bronią?

Pan Ludwik spojrzał na żonę z pewnym niepokojem.

— Czy wiesz ciociu — mówiła dalej zwrócona do cioci Klemusi — czy wiesz, że Ludwik jest tego przekonania, iż mnie podbił swoim krawatem, na którym były wytkane portrety członków kongresu berlińskiego?

— Przecież wojna stoi w blizkim stosunku z kongresem, na którym rozdzielają się łupy wojowników. Mój krawat przyznał mi tylko to, com sam zdobył!

Pieszczota małżeńska zakończyła tę dowcipną szermierkę. W miodowych miesiącach inaczej być nie mogło.

— Ale teraz — rzekła po chwili pani Aurelia, trzeba te dziwactwa waszego krewnego trochę uprzątnąć. Hrabia Alfons, albo hr. Sewera nie zrozumieliby głębokiego znaczenia tych pamiątek rodowych. Niech Wincenty zaniesie je do zielonego pokoiku, w którym ulokujemy naszego... wujaszka z Ameryki.

— On się mianuje stryjaszkiem.

— Mniejsza o to, ale jaka jest jego ranga wojskowa?

— Właściwie... był kapitanem, ale sam naturalnie przez dziwactwo nazywa się sierżantem.

— Chwalebna skromność przy dzisiejszej bladze. Zaczynam go kochać.

Po tej rozmowie otrzymał Wincenty rozkaz przeniesienia rupieci do zielonego pokoiku, w którym pan kapitan miał zamieszkać. Potem ulokowano tymczasem ciocię Klemusię w apartamentach panny Janiny, z czego młoda artystka była bardzo uradowaną.

— Będziesz mi ciocia modelem do pewnego mitologicznego obrazu — zawołała Janina z radością.

— Choćby nawet do obrazu Meduzy — odparła wesoło ciocia.

Artystka chciała coś na to odpowiedzieć, ale zamilkła.

V.

Za godzinę było już wszystko przygotowane do wizyt spodziewanych. Salon odświeżono a Wincenty otrzymał specyalny rozkaz od cioci, aby „pana kapitana”, gdy nadejdzie, do zielonego pokoiku zaprowadził. Załatwiono także i inne domowe sprawy, wypływające z pomnożenia lokatorów. Grożącą burzę domową zażegnano szczęśliwie dzięki inwencyi cioci Klemusi na czas niejaki.

Na każdy wypadek trzeba było pomyśleć i o przyszłości. Sposobność do tego nastręczała się zaraz przy dzisiejszych wizytach.

Niebawem nadszedł hr. Alfons a za nim przybyła hr. Sewera. Mówiono bardzo wiele drobno siekanym bigosikiem francuzczyzny z językiem polskim. Opowiadano niewinne ploteczki, jakie po mieście krążyły, rozumie się o domach należących do towarzystwa, zbywszy kilkoma słowami jakiś koncert krajowego artysty i pierwsze przedstawienie polskiej sztuki.

Ciocia Klemusia, odświeżywszy się na prędce, wzięła także udział w rozmowie. Przygotowując gości domu na wypadek familijny, opowiedziała kilka wesołych anegdotek o krewnym dziwaku, który przybył do nich ze skrzynką pełną dukatów, a w szarym kubraku na grzbiecie. Z talentem Dickensa otoczyła go aureolą romantyki z pierwszych lat jej okresu. Śmiano się wiele i okazano niemałą ciekawość poznania tego zacnego dziwaka.

Dziwak jednak nie przychodził, musiano tę ciekawość na inny czas odłożyć i pożegnać się.

Wzywana kilkakrotnie do salonu Janina nie przyszła. Kazała powiedzieć, że rozpocząwszy większą partyę obrazu, nie może się oderwać, inaczej farby mogłyby wyschnąć.

Dla krewnego dziwaka pozostało wolne pole w ściślem kółku familijnem.

Kółko to siedziało długo jeszcze w salonie oczekując ciekawego dziwaka, który tylko ciocię jeszcze niepokoił. Nie wiedziała czy zrozumie jej życzliwe intencye i czy zechce zastosować się do roli, jaką mu nadała. Tymczasem poruszono inną kwestyę.

— Czy Janina — ozwała się ciocia — ma tutaj wielkie powodzenie?

— Podoba się — odpowiedziała pani Aurelia— ale sama jest bardzo trudna, *très di ficile.* Jest idealistką i lata po eterach. Wprawdzie my wszystkie lubimy tę krainę, która w pierwszem zaraniu życia, jest naturalną potrzebą tak jak kwiat dla drzewa na wiosnę. Ale kwiat ten, niestety, nie może trwać rok cały.

Przesunęła oczy po grzywce małżonka i westchnęła.

Pan Ludwik zajęty był w tej chwili kręceniem wąsików.

— Janina — mówiła dalej miodowa małżonka — jest tego zdania, że ten kwiat musi trwać wiecznie zawsze świeży i wonny. Gdyby kto chciał inaczej twierdzić, stanie się jej wrogiem i będzie nim pogardzać. Powiada, że muzyka serca powinna grać wiecznie bez żadnych pauz i intermezzów. Potrzeba zastosowania się do rzeczywistości jest dla niej niezrozumiałą, a całe życie uważa za harfę eolską. Z takiem usposobieniem staje się bardzo trudną dla mężczyzn, którzy zbliżają się do niej z pewnym wyraźnym zamiarem. Wtedy gryzie dowcipem, dokucza ironią i tak umie wszystko ośmieszyć, że mężczyzna jest kontent, jeśli mu pozwoli uciekać.

Zadowolenie malowało się na twarzy cioci Klemusi. Radośne spojrzenie rzuciła na pana Ludwika, ale ten nie widział go, zajęty jeszcze kręceniem wąsików. Po chwili ułożyła rysy twarzy do wyrazu smutku i rzekła:

— Jeżeli tak, to bardzo ubolewam nad biedną Janiną. W życiu ludzkiem nie znajdzie nigdy takich ideałów, jakiemi się karmi, a zawód doznany zaprawi żółcią jej biedne serce. Żółć ta wzmagać się będzie z każdą nową wiosną jej życia i cały świat obciągnie zielonym pokostem. Nawet białe rzeczy będą u niej brudno zielone, różowe czarnemi... W takim razie może już lepiej wyrzec się świata i zamknąć się w małym, panieńskim pokoiku. Ja miałam podobne usposobienie i tak zrobiłam. Nie żałuję tego wcale bo widzę, że prawdziwe szczęście...

— Ależ cioeiu — przerwał pan Ludwik...

— Prawdziwe szczęście — ciągnęła dalej nieustraszona ciocia — jest tak wyjątkowe, że bardzo rzadko można się jego widokiem tak szczerze ucieszyć, jak ja w tej chwili się cieszę.

Pan Ludwik sięgnął po rękę żony, której oczy błądziły teraz po arabeskach dywanu.

— Trudno — mówiła jakby do myśli swoich — bardzo trudno będzie Janinie wyjść za mąż...

— Chociaż mężczyzni polujący na posag, umieją się zręcznie do kaprysów panny ułożyć z początku — dodała ciocia po chwili.

— Janina umie to zaraz zdemaskować i jest w tej mierze nieubłaganą.

— Biedna Janina! ciernie i głogi czekają na nią.

— Byle tylko nie zahaczyła się na jakim głogu.

— Nad tem trzeba czuwać — dorzuciła skwapliwie ciocia, bo w tej chwili ozwało się głośne krząkanie imci pana Marcina w przedpokoju, poczem słychać było rozmowę z jakimś mężczyzną obcym.

Otwarły się drzwi salonu z trzaskiem a na progu pojawiły się jakieś dwie prawie obce figury.

Jednym z nich był wprawdzie imci pan Marcin, ale przeobrażony do niepoznania. Miał nos mocno ukameryzowany, zamiast brwi pręgi czerwone, policzki wydęte jak miech kowalski. W ustach trzymał grube cygaro, z którego buchał dym jak z komina fabryki. Krótko strzyżony włos siwy zjeżył się na głowie a broda gładko ogolona podparta była kołnierzykiem niezwykłych rozmiarów. Zamiast szarej kurtki, przepasanej rzemykiem miał na sobie surdut czarny, sięgający prawie po kostki, z pod którego wychylały się nowe z długiemi nosami buty. W ręku trzymał nową czapkę z krymskiego baranka, z niej wyglądała para sarnich rękawiczek. Widać jednak było, że czuł się jakby nie w swojej skórze. Ruszał ramionami, jakby go coś gniotło, obmacywał palcami wszystkie guziki i kręcił głową jak wilk w żelaznej obroży. Mimo tych drobnych niedogodności jaśniała twarz jego niemałem szczęściem.

Przy nim stał młody mężczyzna, niesięgający jeszcze wiekiem po nad lata młodzieńcze, ubrany przyzwoicie a nawet z pewną elegancyą. Miał twarz sympatyczną, z ciemnym zarostem. Niebieskie oczy patrzały rozumnie chociaż bez tego fosforycznego blasku, jaki właściwym jest pierwszej młodości.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEODORA

KOMEDYANTKA I IMPERATOROWA.

DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH.

PRZEZ

Watts Phillips, Esquir.

PRZEKŁAD

J. B.

AKT PIĄTY.

(Dokończenie.)

KREON (zimno). Teodora tu.

TEODORA (odsuwając się nieco, z wyuczoną godnością). Przychodzę upomnieć się o podarunek, który mi przysłałeś, o dziecko. (Zadrżała i zbladła.) Czy jest raniony?

KREON (cichym głosem). Śmiertelnie. (Teodora chce zbliżyć się do Filipa, on chwyta ją za rękę i zatrzymuje.) Precz, wyrodna kobieto! Nieograniczona twoja władza na ziemi, upada w obec śmierci.

TEODORA (z ruchem i krzykiem przerażenia). Czy on nie żyje?

KREON. Duch jego unosi się między ziemskim i innym światem. (Powstrzymuje ją znowi zmusza do cofnięcia się.) Precz, wilczyco! Ale nie, nawet wilczyca walczy w obronie swych małych, lwica powraca nieustannie, aby myśliwcowi wydrzéć swoje małe, różnią się więc tem od ciebie, że w dzikiej, drapieżnej ich piersi, bije serce matki.

(Odtrąca ją z pogardą.)

TEODORA. Ja jego matką! Kłamiesz, Kreonie i sam wiesz o tem dobrze. Ah! tak, kłamiesz!.. kłamiesz z rozmysłem. (Zniżając się do błagalnej prośby.) Kreonie, Kreonie, przyznaj, że to kłamstwo, a zapomnę o wszystkiem.

KREON (wskazując krzyż granitowy). Przysięgam na to godło zbawienia, że jest to prawda.

TEODORA (odchodząc od zmysłów i nie mogąc znieść przeszywającego jego spojrzenia). Nie! nie! nie! on nie jest moim synem! (Z konwulsyjnym dreszczem.) Ja nie śmiem, czy słyszysz, Kreonie, boję się uwierzyć temu. (Słabnącym głosem.) Ah! taka niepewność zabija, to najzjadliwsza trucizna!

(Obu rękami przyciska czoło.)

MIRIAM (przystępując). Niech więc zniknie wszelka niepewność i wątpliwość (Z gorzkiem i tryumfującem szyderstwem.) Cesarzowo! to co tam leży, to syn twój!

TEODORA (cofa się zgnębiona, podczas, gdy Kreon spokojny i zimny, cofa się krok wstecz, kładąc rękę na ołtarzu na którym leży kask jego i szpada. Do siebie.) Co to jest?

MIRIAM. Tryumf nienawiści i zemsty.

TEODORA (jakby nieprzytomna). Nienawiści i zemsty!... Za co? czyż wyrządziłam ci kiedy krzywdę?

MIRIAM. Najstraszniejszą w świecie, wydarłaś mi serce ukochanego.

TEODORA (słabym głosem). Jestże to sen?

MIRIAM (z goryczą). Nie! jest to zbudzenie się do rzeczywistości.

TEODORA. Gdzie dowody tego co mówisz? dajcie mi dowody!

MIRIAM (podając małą paczkę). Znajdziesz tu aż nadto dostateczne; są to papiery, które Kreon dał Filipowi. (Kreon zadrżał i postąpił parę kroków). Ale zostały skradzione.

KREON. Skradzione?

MIRIAM. Tak, z mojego rozkazu.

TEODORA (zaledwie mogąc oddychać). A te, które odebrałam?

MIRIAM. Były podrobione przeze mnie.

KREON. O! nieba!

TEODORA. Nędznico! i spodziewasz się uniknąć mej zemsty! (Z ruchem szalonej groźby.) Drżyj, nikczemna!

MIRIAM (z zimną pogardą). Ja! ja! miałabym drżéć przed tobą! przed tą, której podniecałam dumę i żądzę wyniesienia i wielkości. (Owija się swoim płaszczem, cofając się krok.) I w czemże władza moja mniejszą jest od twojej?... W miłości byłam ci równą, w nienawiści cię przewyższam. (Odsuwa się i siada w cieniu, tak spokojna i nieruchoma jak skała o którą się opiera.)

TEODORA (do Kreona z błagalnym ruchem). Pozwól mi się zbliżyć.

KREON (powstrzymując ją). Nie!

TEODORA (składając ręce błagalnie). Błagam cię!

KREON. Nie!

TEODORA (dumnie). Rozkazuję ci!

KREON. Kobieto! kobieto! odejdź nienalegając dłużej. Odtrąciłaś i wyparłaś się żyjącego, teraz ja nie chcę dzielić z tobą mej boleści.

TEODORA. Ależ, mówię ci, że on nie umarł, tak, Kreonie, on nie umarł tylko omdlał. Pozwól mi przemówić do niego, a zobaczysz, przekonasz się, że jedno słowo moje wróci mu przytomność. (Probując wyrwać rękę z dłoni Kreona) Poruszył

się! przysięgam ci, że się poruszył, trzeba mu tylko powietrza. (Padając na kolana przed Kreonem.) Uderz mnie, znieważaj, orzuć błotem, ale nie odpychaj mnie od mego syna! Powiedziałam: mego syna!

FILIP (unosząc nieco głowę, gasnącym głosem). Matko!

TEODORA (jakby zelektryzowana, z okrzykiem dzikiej rozpaczy). Czy słyszysz? on woła mnie, przyzywa... mnie, swej matki!

FILIP (coraz słabszym głosem). Matko!

TEODORA (wyrywając się zachwianemu Kreonowi). O! teraz świat cały nie zdołałby mnie powstrzymać! (Klęka przy łożu Filipa, który zaledwie może unieść głowę. Teodora obejmuje go i podtrzymuje.) Filipie!

FILIP (ze słodkim uśmiechem). Jesteś nareszcie... tak ciężko byłoby umierać bez błogosławieństwa matki!... Przyzywałem cię i przyszłaś.

TEODORA. Ah! nie mów o śmierci, Filipie. Ty żyć będziesz, ty żyć powinieneś.

(Z czułością ociera mu czoło.)

FILIP. Powinienem żyć... niestety! (Unosi się nieco, ściskając ją i wpatrując się w jej oblicze.) Czyż nie widzisz, że umieram!

TEODORA. Umierasz?... (Prostując się.) Nie, to tylko osłabienie z powodu braku ratunku i pomocy... Ratunku! ratunku! biegnijcie prędzej!

(Gdy to mówi, wchodzi Leon z żołnierzami, szykującymi się po obu stronach sceny.)

LEON. Aresztuję zdrajców Kreona i Filipa.

TEODORA (oburzona, obraca się ku niemu). Z czyjego rozkazu?

LEON (podając papier). Z rozkazu cesarza.

TEODORA (gniecie go i drze w kawałki). Tu śmierć tylko króluje. (Rzuca na ziemię kawałki rozkazu.) Odejdź! (Wskazując Miriam, która powstała spokojna i obojętna.) Uwięzić tę kobietę. (Pada na kolana przy posłaniu Filipa, wpatruje się w niego, poczem zwracając się do obecnych) Czyście ogłuchli i zaniemieli?... Mówcie do mnie... odpowiadajcie mi, albo oszaleję!... Ocućcie go!... ocućcie na miłość bozką! (Głos jej przechodzi w rozdzierające łkanie.) Czyż ma umierać, dlatego, że nie chce się wam iść szukać ratunku?

FILIP (bardzo słabym głosem). Gdzie Kreon?... gdzie mój ojciec?...

KREON (stojąc u wezgłowia). Jestem przy tobie, Filipie. (Kładąc rękę na szpadzie, leżącej na ołtarzu.) Połączonych śmiercią nikt rozłączyć nie zdoła.

FILIP (ledwie dyszący). Gdzie matka moja?

TEODORA. Jestem tu. (Ściskając go.) Czuję bicie twego serca; mogłabym policzyć słabe jego uderzenie. (Przyciska go silniej do piersi, z dziką miłością.) Bije coraz wolniej... coraz słabiej... ah! (Z przerażającym krzykiem.) już... już bić przestało!... (Zrywając się) Ah! to ja... ja nieszczęsna go zabiłam.

KREON. Nie.

TEODORA (rzucając się na Filipa, jakby chcąc go podtrzymać). Filipie, synu mój!.!. przebacz mi!... przebacz!

(Kreon przebija się szpadą leżącą na ołtarzu. Zasłona spada.)

K O N I E C.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Listopada 1886 r.

Mamy dziś tak wielkie bogactwo materyałów, że nie wiemy sami od czego zacząć sprawozdanie nasze. Wszystkie wielkie magazyny prześcigają się w wystawianiu coraz to nowych i coraz gustowniejszych tkanin zimowych.

Do wyjścia na ulicę przemagają serże, wigonie i sukienka, w kolorach popielato-zielonkowatym, czyli bluszczowym, ciemno-heliotropowym, granatowym i wydrowym. Dodajmy tu, że wszystkie te kolory wpadają w odcień popielaty. Szkockie tartany, bardzo też modne w tym roku, składają się zwykle z dwóch ciemnych, niebijących w oczy kolorów, np. popielatego z bluszczowym, z granatowym lub heliotropowym.

Ale wypada nam przedewszystkiem powiedzieć coś o kapeluszach zimowych, o których nie mówiliśmy jeszcze. Widzieliśmy parę tygodni temu piękny dobór modeli, wywiezionych ztąd do Warszawy przez panie Kuhnke. Kapotki wogólności, niższe cokolwiek nad czołem, nie mają już tej formy piramidalnej, jaką miały w roku zeszłym. Oprócz aksamitnych czarnych, które nigdy nie wychodzą z mody, przyjęty na nie powszechnie kolor ciemny, a szczególniej bluszczowy. Do nowości tegorocznej, należy też kolor laku, zwany *giroflé sauvage.* Po tych ogólnych uwagach, przystąpmy do szczegółowego opisu.

Kapotka wybrana na model u pani Parisot, czarna, aksamitna, ma rondko podniesione, tworzące ząb nad czołem. Główka ubrana z przodu pasmanteryą dżetową z grelotkami. Wzdłuż główki idzie przekręcona zgrabnie wstążka czarna z ząbkami po brzegach, zwraca się do boków i służy do związania pod brodą. Z lewego boku wpięty pęczek małych piór strusich, połączony z egretką dżetową i takimże motylem.

Drugi model od pani Tuve (Michniewicz), kapotka z pluszu koloru bluszczowego: główka bufowana, ujęta z tyłu w drobne fałdy. Rondko odwinięte w górę jak u toczka, z pluszu tegoż koloru na tle złotem. W pośrodku kapotki, upięte gniazdeczko ze wstążki rypsowej, a w niem trzy maleńkie ptaszki. Końce do wiązania rypsowe.

Trzecia kapotka z aksamitu czarnego i w kolorze laku. Główka czarna bufowana, rondko *giroflé*, złożone z dwóch bufek w dwóch odcieniach. Od środka do lewego boku, upięty pęk pukli tegoż koloru, z pomiędzy nich wybiega w górę egretka z małych strusich piórek.

Od kapotek przejdźmy do okrągłych kapelusików.

Pierwszy z nich *Bolero*, czarny, pluszowy, główkę ma średniej wielkości, rondko nieco odwinięte, równo odstające do koła, objęte brzegiem wstążeczką. Główka opasana wstążką czarną. Z przodu idzie wielka kokarda, przepięta pomponami z czarnych piórek.

Drugi kapelusik popielaty, filcowy *gris feutre*, główkę ma z przodu dość wysoką, od tyłu znacznie niższą. Miejsce rondka zastępuje opaska ze wstążki, zakończona z boku kokardą!

Trzeci podobny z pluszu, w kolorze bluszczowym, tem się różni, że ma główkę wyższą, u góry mocno zwężoną. Z boku wpięte skrzydełko tegoż koloru.

Zwróciły także uwagę naszą, dwa bardzo ładne zawoje arabskie, do okrycia głowy, przy wejściu na koncert lub do teatru, jeden z pąsowego, drugi z białego kaszmiru. Przód u nich sztywno podszyty, nieco podniesiony, aby nie targał włosów nad czołem, zahaftowany cały złotem i perłami, końce długie, luźno puszczone, okręcają się zręcznie koło głowy i szyi.

Uważaliśmy dla starszych osób, ładne czepeczki czarne koronkowe, przybrane gałązką z owoców dżetowych i wstążką aksamitną, czarną.

Zobaczmy teraz piękne modele okrywek zimowych. W ogólności noszą je krótsze niż w roku zeszłym, lecz i długie nie wyszły wcale z mody. Wśród tych ukazał się tu nowy fason, zwany *Delie Bulgare.* Panie Kuhnke wybrały taki model, z czarnego materyału wełnianego, przerabianego w wypukłą kratę czarną, jakby jedwabnym sznurkiem.

Delja ta przystaje w tyle do figury, przody wolno puszczone. Przez plecy idzie czarny plusz, ozdobiony matowym haftem. Tylne poły rozcięte od stanu do dołu, obłożone wązko futerkiem czarnem. Takież samo futerko idzie wzdłuż gładkich przodów, otacza szyję i greckie rękawy średniej szerokości.

Lekko podwatowana delia, ma podbicie z pąsowego atłasu.

Podobała nam się także inna okrywka krótsza w rodzaju wizytki z podobnego materyału w mniejszą kratkę, watowana lekko, podbita czarnym atłasem. Plecy ma wcięte, rękawy bardzo zgrabne. Do koła idzie obszycie z piór a samym brzegiem frendzla sznelowa zakończona grelotkami.

Dla młodych panienek, uważaliśmy bardzo ładne żakietki krótkie, z tyłu wpadające do stanu. Z pod otwartych przodów, wychodzi kamizeleczka gładka, lub też nafałdowana. Przody łączą się z tą kamizelką, trzema wielkiemi guzikami, pomieszczonemi z obu stron w górze, do połowy stanika. Dwa takież guziczki naszyte poniżej pleców, dwa idą na mankietach.

Z kostyumów nabytych na model, opiszemy dziś tylko jeden, inne zostawimy do następnej korespondencyi. Śliczny to i oryginalny kostyum, złożony z kaszmiru w dwóch kolorach, ciemno bluszczowym i złotym *viel or.*

Spódnica gładka, w kolorze bluszczowym, u dołu szeroki, ćwierćłokciowy prawie obrąb, przystębnowany w górze pięć razy jedwabiem koloru złotego. Od dołu wygląda wązka falbanka, jakby od osobnej spódniczki, także przystębnowana. Na wierzch idzie tunika tegoż koloru, z szerokim zarówno obrębem, na prawym boku podpięta wysoko, na lewym trochę niżej. W tyle nafałdowany puff rozniesisty. Po lewej stronie od stanu, spadają przez całą długość tuniki, dwa długie pukle ze wstążki bluszczowej, na ćwierć łokcia od dołu przewleczone przez wielką kulę.

Ta kula wykrojona z korka, powleczona kaszmirem, złotym, oszydełkowana z wierzchu, ażurowo ciemnym jedwabiem, bardzo ładnie i oryginalnie wygląda. Kaftaniczek do tego z karoczkiem, z kaszmiru bluszczowego, przystaje do figury. Z pod otwartych przodów wybiega plastron ze złotego kaszmiru, naszyty w podłuż, raz koło razu ciemnym sutaszem. Dwie kule, pomieszczone jedna nad drugą, w górze stanika, przytwierdzają przody do plastronu. Takież dwie kule zdobią niżej pleców karoczko. Kołnierz stojący koloru złotego

naszyty sutaszem i podobne mankiety u rękawów, pięknie dopełniają całości.

Dodajmy na zakończenie opis ślicznego ubrania rannego, z kaszmiru i pluszu w kolorze rezedowym. Spódniczka do ziemi, nafałdowana w koło, ogarnirowana u dołu i wzdłuż przodów, koronką w odcieniu śmietankowym. Na to idzie kaftanik do figury pluszowy, cokolwiek ciemniejszy. W tyle przechodzi on na pół łokcia poniżej pleców, z przodu zaś tworzy dwa długie, zakończone w ząb końce, kaftanik ten wkoło ogarnirowany koronką, w stanie obciśnięty przepaską, zahaftowaną różnokolorowo, z przodu przeciągniętą przez sztuczny węzeł i spadającą na dół dwoma końcami. Kołnierz do tego stojący, zahaftowany, równie jak i mankiety u rękawów

S. D.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Towarzystwo ogrodnicze niedawno zawiązane w Warszawie, prowadzone z coraz większą gorliwością, daje niepłonną nadzieję przyszłych dla kraju korzyści. Na ostatniem zebraniu Profesor Jurkiewicz zdawał bardzo ciekawe sprawozdanie z odbytej przez siebie podróży po Niemczech i Belgii. Szczególniej obudził zajęcie opis ogrodu w Gandawie Van-Honttena, obejmujący pięć włók przestrzeni i będący prawie ciągłą wystawą rzadkich roślin i ciekawych niezmiernie okazów sztuki ogrodniczej.

Zieloność drzew, roślin wszelkich, jest tam niepokalanie czysta, a każda roślina nabywająca najmniejszej plamki żółtej, w tej chwili idzie do cieplarni.

A jakie tam są rzadkie i cenne rośliny. Dość powiedzieć, iż pokazywano profesorowi okazy Storczyków ocenionych po 5,000 fr. sztuka.

Kiedy zwiedzający wyraził zdumienie, że podobne ceny może płacić chyba Rotszyld, oświadczono mu, iż na rośliny wydają znaczne sumy zwykli śmiertelnicy, naturalnie jednak dość zamożni. I tak na kilka dni przedtem, jakiś piwowar z południowych Niemiec przybyły, zakupił odrazu roślin za 70,000 franków.

Nic dziwnego więc, że w takim zakładzie Van-Honttena obrót handlowy wynosi rocznie 8 do 10 milionów fr., a podróżujący z zakładu tego botanik wysyłany w góry Kordylierskie lub na pustynię Sahara po kaktusy nowych odmian i w ogóle w różne najniedostępniejsze strony świata dla zdobycia nowych roślin, pobiera 100,000 franków, a nieraz i więcej rocznego wynagrodzenia.

Każdy wielki zakład ogrodniczy czuje się w obowiązku zaprowadzenia hodowli nowych, nikomu jeszcze nie znanych roślin.

Drugi równy powyższemu zakład jest Lindena.

W dalszym ciągu szanowny Profesor dość szczegółowo opisywał cechowości i urządzenia owych wspaniałych zakładów ogrodniczych, w których się kształcili nasi ogrodnicy, jak Ulrich, Hoser, Bardet i pozostawili w Gandawie nader zaszczytną pamięć.

W połowie przyszłego miesiąca rozpoczną się w lokalu towarzystwa przy ulicy Chmielnej pogadanki popularne.

Dotychczas przyrzekli swój udział w tych pogadankach pp. J. Aleksandrowicz, Jurkiewicz i J. Sporny.

P. Edmund Jankowski przedstawił dwa ciekawe okazy pochodzące z Nowego Sadu p. Poznańskiego, a mianowicie dwie gruszki (duetess) zrosłe w jedną (nazwano je sjamskiemi) oraz pietruszki olbrzymich rozmiarów.

Dziennik dla Wszystkich podaje następującą wiadomość:

Lat temu z górą dwanaście pp. Ł. chowali na cmentarzu powązkowskim ośmioletnią swoję córeczkę Andzię, a w tymże samym dniu chowano obok, wdowę po rybaku, po ktorej pozostała sierotka mała Julcia.

Po pogrzebie, przyjaciołki i kumoszki opuściły cmentarz zmarłej nie troszcząc się wcale o los dziewczynki pozostałej przy mogile.

Po upływie godziny, kiedy biedne ciągle klęczące dziecko wcale się z miejsca nie ruszało, obserwujący je od początku państwo Ł. podeszli ku niemu, podnieśli z ziemi prawie zemdlone a dowiedziawszy się że nikogo nie ma biedactwo na świecie, zabrali do domu.

Dziewczynka była chorą widocznie, przywołano lekarza, ten skonstatował silną gorączkę i wywiązujący się tyfus. Mała jak się pokazało od dni czterech nic w ustach nie miała, spędzając dnie i bezsenne noce przy łożu chorej matki.

Walcząc przez cztery przeszło tygodnie z życiem i śmiercią, pod opieką pp. Ł. przychodziła Julcia powoli do zdrowia.

Przez ten czas państwo Ł. tak się przyzwyczaili do sieroty, że jednomyślnie postanowili zająć się losem dziecka i dać mu odpowiednie wychowanie.

Julcia sprawowała się wzorowo i ukończywszy chlubnie gimnazyum w roku zeszłym, została nauczycielką w jednym z zakładów naukowych żeńskich, pragnąc tym sposobem ulżyć swoim opiekunom.

Młody zaś Ł. syn ich skończywszy szkoły i otrzymawszy posadę przy zarządzie dróg żelaznych Poleskich, przybył przed kilku miesiącami do Warszawy odwiedzić rodziców a spotkawszy się z urodziwą przybraną siostrą, zakochał się w niej na zabój.

Następstwem tego było pobranie się i w dniach tych odbył się ślub młodej pary, uszczęśliwiającej zarówno siebie jak i tych co ją wychowali.

Piękny przykład koleżeństwa dali urzędnicy jednego z biur kolejowych. Jeden z nich od dwóch lat już choruje, dotknięty paraliżem. Zwierzchność kolejowa, długo wyrozumiała, widziała się w końcu zmuszoną udzielić mu dymisyę; atoli koledzy jego wystąpili z podaniem, aby nie obsadzano posady chorego, gdyż oni rozbiorą między siebie jego zajęcia, tak że czynność biurowa nic na tem nie ucierpi. Zwierzchność oceniła jak należy szlachetny postępek swoich podwładnych i na podanie ich przychylną dała odpowiedź. Bodajbyśmy codzień o czynach podobnych donosić mogli!

W teatrze czeskim odbyło się dnia 24 październikа przedstawienie uroczyste na uczczenie 100-letniej rocznicy teatralnych przedstawień czeskich. Teatr był rzęsiście oświetlony. Najsamprzód pierwsza heroina, pani Sklenarzowa-Mała, deklamowała piękny prolog, napisany przez młodego poetę Mużyka. Świetnie ustawiony żywy obraz przypomniał skromne początki teatru czeskiego w tak zwanej „budzie" na placu św. Wacława. Następnie zabrzmiała uroczysta symfonia Smetany. „Z ceskych lahu a haju." W końcu odegrano starą fraszkę Klicpery, jednego z pierwszych poetów czeskich nowej doby „Czarodziejski kapelusz," w końcu operę Blodka „W studni". Publiczność w nastroju uroczystym przyjęła to wszystko z wielkim zapałem. Pierwsze przedstawienie sztuki czeskiej w Pradze odbyło się właściwie w r. 1771; odegrano wtedy przetłomaczoną nędznie na język czeski *possę*, niemiecką „Herzog Michel.". Po tej niefortunnej próbie, dopiero w r. 1785 zaczęto przedstawiać sztuki czeskie w teatrze hr. Thuna na „małej stranie". Po przekładach z niemieckiego, dnia 10 stycznia r. 1785 odegrano narodowy dramat Thoma „Brzedysław i Judyta". W tymże roku spółka czeska, złożona przeważnie z aktorów, wystawiła na placu św. Wacława „budę", w której zaczęto grać 8 go lipca. Na pierwszem przedstawieniu odegrano przekład komedyi Ifflanda, następnie niewielką komedyę „Peruka", w końcu wreszcie pantominę „Prazkie kucharki". Były to więc przedstawienia mięszane. Aż do r. 1790 grano w „budzie", następnie teatr czeski przeniósł się do byłego klasztoru OO. Hybernów. Tymczasem hr. Nostic wystawił istniejący jeszcze dziś niewielki „Teatr krajowy". Tam po r. 1840 w czwartki i niedziele po południu odgrywano przed sztukami niemieckiemi czeskie. Wreszcie w r 1862 wystawiono teatr czeski nad Mołdawą, który teraz stanowi tylną część wielkiego teatru narodowego, uroczyście otwartego w listopadzie r. 1883. Jest to, jak wiadomo, bardzo świetny gmach teatralny, a porównywając go ze skromną „budą" z r. 1785 możemy sobie łatwo zdać sprawę z ogromnego postępu, jaki się w ciągu 100 lat dokonał w społecznem życiu Czechów

---

Posąg wolności, który jak wiadomo ma być wkrótce inaugurowanym w New-Yorku, oświetlony będzie elektrycznością. Pochodnia, trzymana w ręku przez postać wolność reprezentującą, rzucać będzie pięć strumieni światła o sile 30,000 świec. Cztery mniejsze pochodnie, o sile 6,000 świec, umieszczone w czterech rogach piedestału, oświetlać będą posąg. Światło będzie widoczne na przestrzeń 100 mil (130 kilom.) w promieniu. Cała francuzka eskarda Atlantyku (Nord.) weźmie udział w uroczystościach inauguracyi.

Rysunek posągu pomieszczony został w bieżących numerach Przyjaciela Dzieci.

Z dziedziny humorystycznej.

Zdaje się, że na świecie nie ma już drugiego nazwiska tak często powtarzanego, jak niemieckiego kanclerza p. Bismarka. Zdumiewający w pomysłach krętaniny dyplomatycznej, równie jest niezwyczajnym w stosunkach prywatnych, w których niejeden nie wiedziałby jak sobie radzić, on jednak nigdy się nie potknie i jak kot na nogi pada.

Pewnego dnia układano listę osób mających być zaproszonymi na wielki polityczny wieczór do kanclerza.

Jeden z obecnych usłyszawszy nazwisko pewnego

członka partyi postępowej, którego zamierzono zaprosić, rzekł:

— Temu mości książę, nienależy przesłać zaproszenia, w roku bowiem 1847 obraziłeś go zbyt boleśnie, aby miał zapomnieć wyrządzonej sobie zniewagi.

— Więc cóż z tego? — zapytał kanclerz.

— Nie przyjdzie z pewnością.

— Być może...

— A w takim razie byłaby to zniewaga rozmyślnie ci, mości książę wyrządzona.

— Zapewne — potwierdził kanclerz i po chwili namysłu dodał: —zaproście go jednak, tylko powiedzcie mu ode mnie, że w owym czasie gdym mu przykrość zrobił, byłem szlachetką bardzo głupim, a dziś jestem kanclerzem znacznie rozumniejszym.

Zrobiono tak, zaproszony przybył, kanclerz przyjął go z uśmiechem zadowolenia i ściskając rękę rzekł:

— Dziękuję ci panie H. żeś zapomniał Bismarka a pamiętał o kanclerzu.

* * *

Jakiś niemiec urodzony w Australii a więc niezupełnie prawdziwy, przybył do Europy jedynie w celu poznania swej platonicznej ojczyzny i mężów przewodniczących jej. Na początek chciał bliżej zapoznać się z cesarzem Wilhelmem, lecz wytłomaczono młodemu republikanowi, że przyjęcia nie uzyska bo to nie Ameryka, w której do prezydenta wchodzi się bez meldunku. Poszedł więc do Moltkego, ale i tu spotkała go niespodzianka, bo nietylko, że mu przyjęcia odmówiono, ale po natarczywem domaganiu się zagrożono policyą i drzwi otworzono prosto na schody. Poszedł więc do kanclerza.

— Proszę powiedzieć — rzekł do lokaja — że umyślnie przybyłem z Australii, aby się z kanclerzem osobiście poznać. Jeżeli mnie zaraz nie przypuści do siebie, to niech was milion kroć sto tysięcy, fur beczek batalionów... rozumiesz?

— Rozumiem — odrzekł lokaj i niebawem poprowadził natarczywego gościa do gabinetu samego Bismarka.

Kanclerz przyjął go bardzo łaskawie i wskazał krzesło do zajęcia.

— Czy lokaj waszej ekscelencyi — rzekł nieznajomy po chwili milczenia — powtórzył wiernie moje żądanie?

— Ani słowa nie opuścił, nawet beczki i bataliony wymienił — odrzekł Bismark uśmiechając się — z dokładnością godną najwyższej pochwały.

— To przepraszam waszą ekscelencyą, ale byłem zirytowany niegrzecznością przyjęcia u pana Moltkego, czego mu nie przebaczę i zażądam satysfakcyi.

— Od kogo? Czy od tego starego rębacza, co potłukł Francuzów, czy od jego lokaja?

— Najprędzéj od obydwóch—namyślę się.

— Wybornie—odrzekł kanclerz,—a nim to nastąpi, opowiedz mi pan nieszczęśliwą swą przygodę z Moltkem i szczegóły podróży z tak dalekich stron.

Gość ujęty grzecznością przyjęcia, oswoiwszy się z kanclerzem, stał się swobodniejszym w wyrażaniu swego uwielbienia dla Bismarka, jako dyplomaty i w wypytywaniach o szczegóły przebytéj wojny z Francyą.

— Czy książę nie ma jeszcze kaszkietu mundurowego, w którym odbył bitwę pod Königratz?

— Mam, albo co?

— To uważałbym za wielki zaszczyt dla siebie, abym kaszkiet ten mógł dostać na pamiątkę.

— Chętnie go panu ofiaruję.

— Ach! za ten zaszczyt, nawet słów nie znajdę na podziękowanie...

— Bardzo mnie to cieszy.

— A czy mości książę, nie masz przypadkiem... butów, które miałeś na nogach w bitwie pod Sedanem?

— Mam, mam,—odrzekł kanclerz.

— Ach! gdybym mógł prosić...

— Mam nawet tabakierkę, z której mnie generał Moltke poczęstował tabaką, przy oświadczeniu, że armia francuska poddać się musi.

— Czyż podobna? — krzyknął gość i oczy mu zapłonęły blaskiem chciwości, posiadania rzeczy z tak drogocenną pamiątką do niej przywiązaną.

— Tak jest panie, posiadam to wszystko — odrzekł kanclerz — a nawet jeżeli przyjmiesz te drobiazgi mogę ci je ofiarować na pamiątkę naszego poznania.

— Ah! mości książę, uszczęśliwiasz mnie.

— Tylko nie wiem czy tabakierka Moltkiego...

— Wszystko przyjmuję, choćby to nie do Moltkiego ale do samego dyabła należało... przepraszam ale...

— Nic nie szkodzi, możesz pan być ze mną bez żadnej ceremonii, Moltke z dyabłem żyje w porozumieniu, w skutkach bowiem nadeptywania na nogi ustrojone odciskami, ta w nich zachodzi różnica że dyabeł męczy ludzi wrzącą smołą a Moltke strategią.

— Oh! to prawda.

— Spodziewam się więc panie — odezwał się Bismark — że zrównawszy dyabła z Moltkiem, dwóch tak wielkich dygnitarzy, nie zechcesz Moltkiego zdegradować szukaniem na nim satysfakcyi, bo i tak go dyabli wezmą do piekła.

Gość rozśmiał się szczerze i chciał kanclerza zwyczajem niemieckim poklepać po ramieniu, ale ten zręcznie podaniem ręki, pożegnał się z gościem uszczęśliwionym darami jakie otrzymał.

* * *

— Hej! garson, jeść jak najprędzej!

— A co pan rozkaże?

— Cóż to, ośle, nie możesz mi z twarzy wyczytać cobym zjeść pragnął.

— Ah! przepraszam, to pewno baraninę?!...

* * *

— Czy człowiek ma wolną wolę, czy jej nie ma, jest to kwestya od początku świata rozbierana i dotąd nie rozstrzygnięta.

— Owszem, przeciwnie, teraz już praktyka dowiodła jak najdokładniej, że gdyby wola ludzka była wolna, to z pewnością w szkołach z dzisiejszym systematem naukowym, aniby się jednego nie znajdowało ucznia.

ZAWIADOMIENIA.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Октября 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

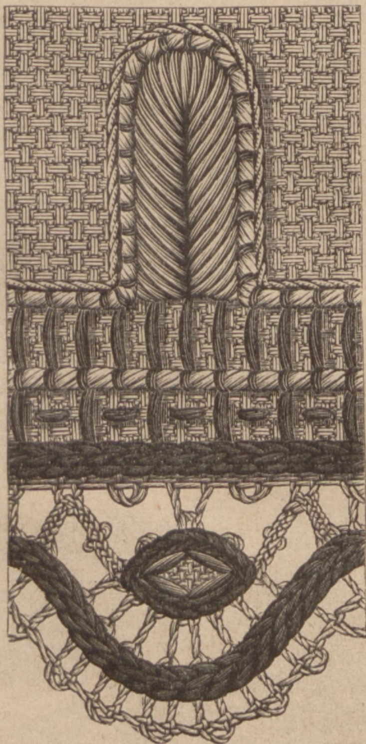


N. 1. Przykrycie na pianino. Patrz ryc. 2, tudzież r. 11 i 31-32 w N. 44.



N. 3. Płaszczyk dla panienki lat 8—10. Patrz ryc. 38 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. VI, f. 33-36.

N. 4. Paletot dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 36 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. V, fig. 25—32.



N. 2. Szlaczek i koronka brzeżna do ryc. 1.

Opis do N-ru 45.

(Dokończenie.)

N. 17. Kostyum do polowania.

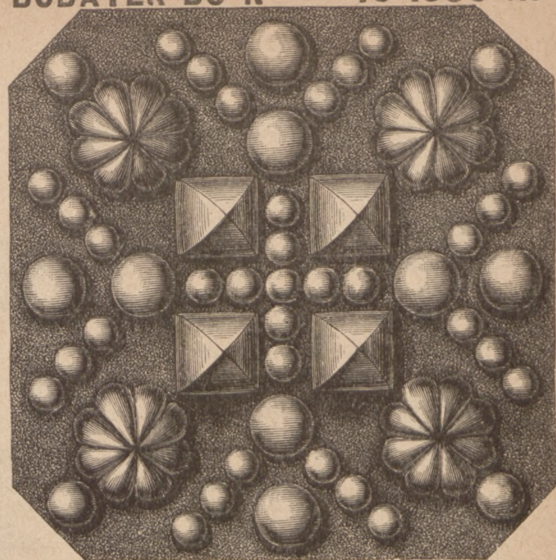
Ciemny wełniany materyał loden i angielski aksamit w prążki, użyte są na kostyum ryc. 17; przybranie stanika stanowią szmuklerskie pentlice i baryłeczki do zapinania. Na spódnicy naszyta ciemniejsza wełniana pletnia. Wysokie buciki skórzane lub sukienne, kapelusz filcowy.

N. 18 i 20. Suknia z upięciem w kształcie szarfy. Krój na arkuszu N. IX, fig. 39.

Gładki niebieski kaszmir i materyał wełniany w kratkę popielatą z niebieskim użyty jest na ubranie przedstawione z przodu na ryc. 18, z tyłu na ryc. 20. Spódnica podszewkowa przykryta jest wolantem 350 cent. obwodu mającym, z boków złożonym w kontrafałdy, z tyłu przymarszczonym. Przód pokrywa upięcie z materyału skośnego, wymierzone podług litery *a* na fig. 39, wyższa odcięta wzdłuż podług linii środkowa część bryta, fałduje się podług krzyżyków i punktów do 34 cent. długości i zeszywa. Na upięcie szarfowe bierze się dwa bryty proste litera *b*, zeszyte z sobą w środku brzegami skośnemi, zfałdowane podług znaków, przy górnym brzegu podpięte w pukiel gwiazdą do gwiazdki. Draperję z jednego boku przyszywa się stale do stanika, z drugiego przypina na haftki.

N. 19 i 21. Ubranie spacerewe z vêtement. Patrz ryc. 30 w N. 44. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—7.

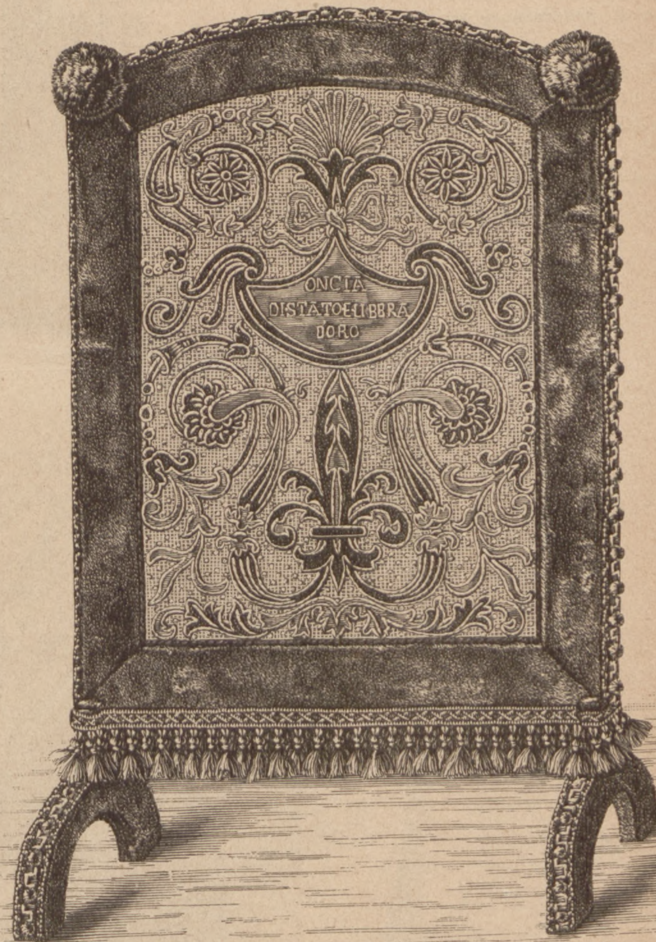
Fig. 7 daje wymiar podszewkowej spódnicy, przykrytej zwierzchnią zmarszczoną w około i wszytą w pasek, u dołu objętą plisą aksamitną 3 cent. szeroką i 16 cent. szerokim plumażem. Fig. 1 daje formę oryginalnych przodów stanika; linia prosta cienka oznacza brzeg gładkich przodów w górze odwiniętych w ranwersy i dopełnionych kamizelką drobniutko plisowaną z materyi, z takim samym stojącym kołnierzem. Dopełnienie przodów i przedłużenie vêtement kraje się w jednym ciągu z boczkami, podług fig. 2 a. Fig. 4 daje wymiar brytów na draperyę tylną, które wzdłuż brze-



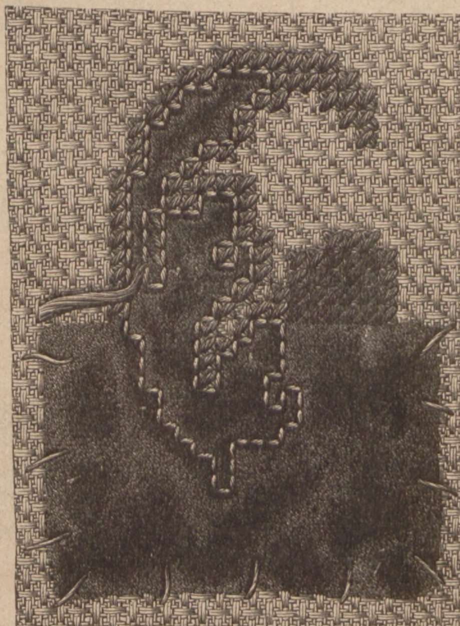
N. 5. Narożnik do ryc. 6 w N-rze 44. Nabijanie goździkami. Patrz ryc. 6—9 i fig. 51.



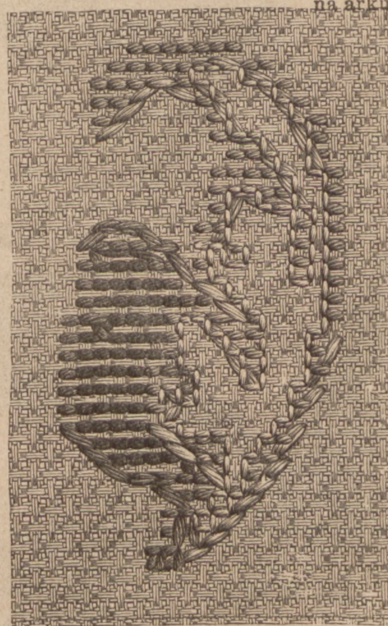
N. 6—9. Przybory do nabijania goździkami. Patrz ryc. 5. Opis przy ryc. 6 w N-rze 41.



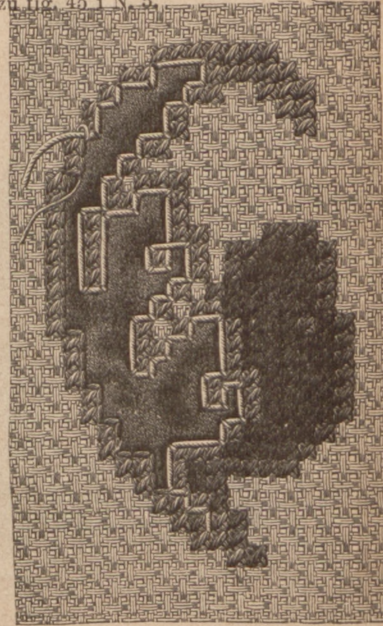
N. 10. Ekran. Aplikacya. Patrz ryc. 10 w N-rze 44. Deseń i opis na arkuszu fig. 45 i N. 3.



N. 11. Przyszycie aplikacyi pluszowej. Do ryc. 3 w N-rze 44.



N. 12. Zamocowanie aplikacyi z lewej strony do ryc. 3 w N-rze 44.



N. 13. Obwodzenie aplikacyi sznurczkiem złotym, do ryc. 3 w N-rze

gow skośnych od punktu do punktu przyszywają się do boczków. Brzeg górny od krzyżyka do F marszczy się podług linii wklęsłej i przyszywa do pleców podług odpowiednich znaków, dalej zaś spuszczny wolno wraz z prostym brzegiem bocznym, składa się w fałdy wachlarzowe. Przyozdobienie vêtement stanowi szarfa z materyi jedwabnej wziętej we dwoje, oba końce po 16 cent. szerokie 66 długie wpuszczone są w boczne szwy vêtement i związane z przodu w dużą kokardę. Cieniowanie na fig. 4 oznacza podszycie materyą.

N. 22. Suknia z krótkim okryciem. Patrz ryc. 24 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. XII fig. 43.

Ciemny aksamit stanowi przybranie okrycia z materyału noppé w kratę. Krótkie to okrycie składa się ze stanika bez rękawów, z karoczkiem fałdowanem—patrz a—c na fig. 43 i z części pelerynowych zakończonych ranwersami; części te łączą się ze stanikiem na ramionach i szwach bocznych, z przodu zaś przypinają się jednym guzikiem do stanika, podług ryc. 22.

N. 23. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Obydwa boki sukni z wełnianego materyału, zdobią szerokie pasy repsowe przerabiane sznelą. Draperya fartuszkowa z przodu, dopełniona z tyłu prostemi suto podpiętemi brytami. Na staniku dane fałdowane przybranie z repsu w górze 12 u dołu 5 cent. szerokie, z boków otoczone ranwersami aksamitnemi, w środku przyciśnięte klapkami 20 cent. długiemi. Kołnierzyk $4\frac{1}{2}$ cent. szeroki przerabiany sznelą. Kapelusz marynarski z wysoką kokardą.

N. 29. Sukieneczka wycięta, dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. IV, fig. 22—24.

Uszyta z różowego wełnianego materyału, składa się z bluzki i ze spódniczki plisowanej, podszytej muślinem, 20 cent. długiej, 173 szerokiej, zaszytej w trzy zakładki. Fig. 22—23 dają formę materyału zwierzchniego bluzki, przemarczczonego w górze i u dołu, zaś cienką linią oznaczona jest podszewka. Wzdłuż przodów odznaczone jest zapięcie przez naszycie pliski 6 cent. szerokiej, zdobnej ściegiem cierniowym i guziczkami z konchy, prawdziwe zaś zapięcie dane na haftki z tyłu. Krótkie rękawki i patki utrzymujące szarfę, wyszyte są ściegiem cierniowym. Wykrój szyi ogarnirowany 7 cent. szeroką koronką; kokardy z różowej atłasowej wstążki 4 cent. szerokiej dane na ramionach.

M. 30—31. Fartuszek bluzkowy dla dziecka. Kroj na arkuszu N. XI fig. 42.

Przody i plecy fartuszka z perkalu w paski granatowe i ponsowe, krają się jednakowo podług fig. 42 i zszywają z boków. Wykrój szyi i pachy zdobi szlaczek haftowany $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki przystębnowany dwa razy; fartuszek zapina się na ramieniu i zmarszczony jest w górze na sznureczek. W pasie przyszyte są patki po 4 cent. szerokie. $5\frac{1}{2}$ długie, przez które przewleka się sznur podwójny ponsowy, zakończony pomponami, przewiązany z przodu na węzeł, wskazany na ryc. 31

N. 34. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz fig. 41.

Rycina 34 i fig. 44 na arkuszu z krojami wskazują przód i plecy sukni raz odrobionej z materyału gładkiego i w pasy, drugi raz z materyału wełnianego w kratę i z gładkiego sukna. Krój dopasować można podług formy do ryc. 1 w N-rze 40. Spódnica podszew-



N. 14. Berecik dla młodej panienki.

N. 15. Kapelusz okrągły z podniesionem rondkiem.

N. 16. Toczek. Patrz ryc. 7 w N-rze 44.

N. 17. Kostyum do polowania.

N. 18. Przód do ryc. 20.

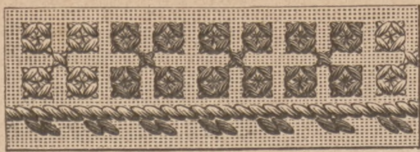
N. 19. Plecy do ryc. 21.

N. 20. Suknia z draperyą nakształt szarfy. Patrz ryc. 18. Krój na arkuszu N. IX, fig. 19.

N. 21. Ubranie spacerowe z vêtement Patrz ryc. 19 tudzież ryc. 30 w N-rze 44. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—7.

N. 22. Ubranie spacerowe z krótkiem okryciem. Patrz ryc. 24 w N. 44. Krój na arkuszu N. XII, fig. 43.

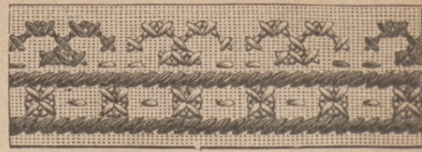
N. 23. Suknia ze stanikiem z baskiną.



N. 24. Szlaczek do ubrań dla dzieci.



N. 26. Szlaczek do serwetek, ręczników i t. p.



N. 25. Szlaczek do sukienek fartuszków i t. p.

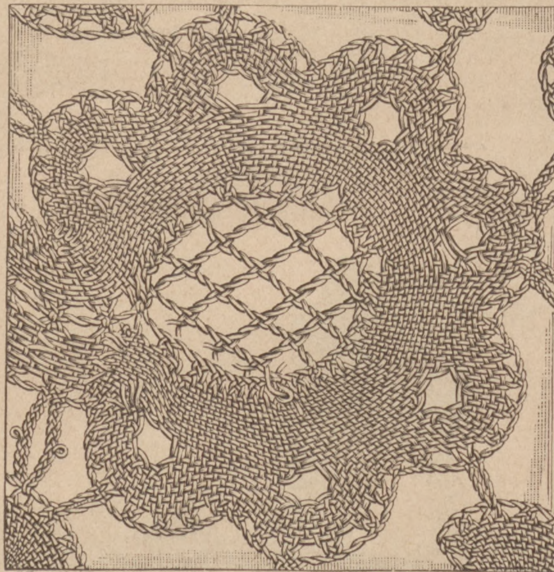
kowa przykryta wolantem ułożonym w plisowane fałdy, po 8 cent. szerokie, liczącym 4 metry 23 cent. obwodu i z jednego boku sięgającym aż do paska. Na ryc. 34 draperya w kratę, ułożona z materyału 4 metry szerokiego, 102 cent. długiego, z brzegów bocznych podług fig. 44 ściśle sfałdowanego i podpiętego w górę. Kamizelka dana z materyału w k r a t ę, przykryta gładkim stanikiem zapiętym na jeden guzik, podszytym w kołnierzu i klapkach kolorowym atłasem. Przyozdobienie stanowi pletnia wełniana.

N. 35. Szlafroczek z fałdowanemi przodami. Krój na arkuszu N. X, fig. 40—41.

S t r o j n y szlafroczek przedstawiony z przodu na ryc. 35, z tyłu na fig. 41, odrobiony jest z różowej flanelki w drobne paski i z koronki wełnianej żółtawego koloru. Fig. 40 daje wymiar kroju szlafroka: litera *a* oznacza koronkowy środek przodów podszyty u dołu wolantem koronkowym 11 c e n t. szerokim. Przody flanelowe w górze przypięte na guziki, u dołu przyszyte, są w górze wzdłuż na 75 cent. zastębnowane w 11 zakładek, w które wsunięty jest gruby sznur. Pierwsze i drugie boczki krają się razem i w dalszym ciągu przy nich i d ą tylne bryty szlafroka, sfałdo- w a n e w górze (patrz *c* na fig. 40) i przyszyte do krótkich pleców podług fig. 41. Kokardy z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.



N. 29. Sukieneczka wycięta dla dziecka. Krój na arkuszu N. IV fig. 22—24.



N. 27. Liść koronkowy do koronki N. 2 na arkuszu Patrz ryc. 28. Opis na arkuszu.



N. 30. Fartuszek bluzkowy przewiązany sznurem. Patrz r. 31. Krój na arkuszu N. XI, fig. 42.



N. 32. Lewa strona paletota ryc. 1 i 23 w N-rze 44.



N. 31. Przewiązanie sznura na fartuszek r. 30.



N. 34. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz fig 44.



N. 28. Węzeł do koronki ryc. 27.

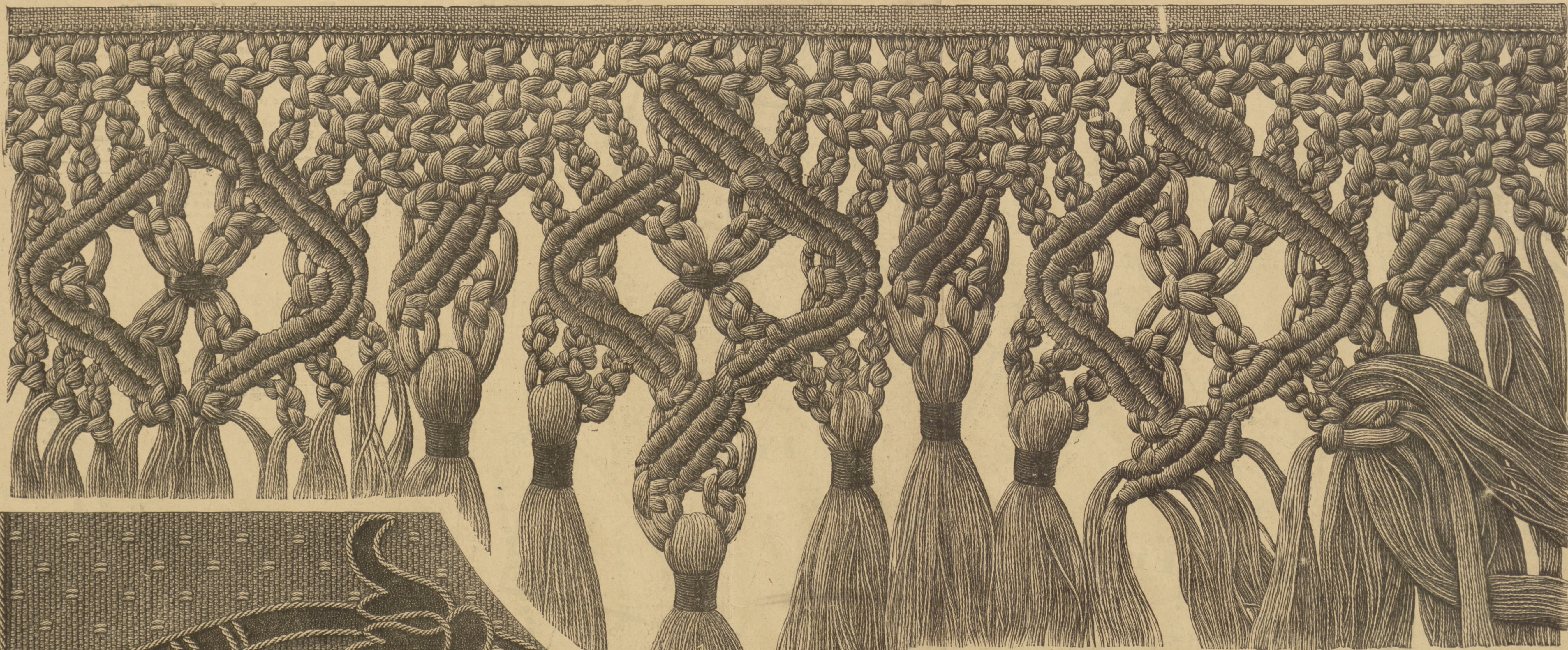


N. 35. Szlafroczek z fałdowanemi przodami. Krój na arkuszu N. X, fig. 40 i 41.

N. 33. Wózek i kolderka dla dziecka. Deseń i opis na ark. pod N. 4.

Wzory na frendzle, koronki, ekrany, serwety, poduszki i. t. p. Robota wiązana, aplikacja, ścieg krzyżykowy.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 44 i 45. w Warszawie 1886 r. — **Tygodnik Mód.**











Wzory na frendzle, koronki, ekrany, serwety, poduszki i. t. p. Robota wiązana, aplikacja, ścieg krzyżykowy.

N. 1. Frendzla szeroka do lambrekiny do okna. Robota wiązana macramé. Rzadkie płótno kanwowe położone potrójnie i zeszyte ze sobą ściegami dzierganemi zajmowanemi przez trzy nitki, wysiepane z brzegu, tworzy 58 cent. długie promienie na frendzlę, dzielone po 18 nitek. Deseń tworzą różnorodnie wiązane węzły; do przewiązywania frendzli użyta bawełna kolorowa.

N. 2. Koronka niciana robiona na klockach, odpowiednia do bielizny kościelnej. Patrz ryc. 27 i 28 w Nrze 45 i dopełnienie deseniu na Fig. 48. Jak to widać na deseniu N. 2 tasiemeczka robiona 12—14 nitkami, tworzy figury podobne do listków i kwiatków. Jedną taką figurę znacznie powiększoną przedstawia ryc. 27; robiąc takową, dodaje się nitek a po skończeniu takowe odsuwa. Dodając nitki, robi się w ten sposób, iż dwa końce nitki nawija się na dwa klocki, a sam środek nitki mocno przypięty tworzy pikot. Gdy dwie nitki łączy się jednym węzłem to tworzy się węzeł przedstawiony na ryc. 28. Bieg nitek w robocie objaśniają numera wypisane na deseniu Nr. 2. Prosta linja na Nr. 2 i na fig. 48 wskazuje złożenie z sobą dwóch części deseniu.

N. 3. Deseń na ekran. Aplikacja. Patrz ryc. 10 w Nrze 44 i 45 i Fig. 45. — Ramę $6\frac{1}{2}$ cent. szeroką i nogi ekranu pokrywa plusz jedwabny, jasno poziomkowego koloru, przybranie stanowi torsada $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka, frendzla 7 cent. szeroka i dwa pompony, wszystko w kolorze pluszu. Pod N. 3 dajemy połowę dolnej części haftu, górną część przedstawia fig. 45. Tło stanowi mocne gobelinowe płótno, wyszyte ściegami złoto-żółtego jedwabiu. Atłas i aksamit (w ciemniejszym cieniu) koloru pluszu, użyty do aplikacji podkleja się najpierw mocnym perkalem. Gruby złoty sznureczek stanowi wszędzie obwódkę. Lewa strona ekranu podłożona jest podług ryc. 10 w Nrze 44 stalowo szafircwym atłasem układanym w kontrafałdy 5 cent. szerokie.

N. 4. Deseń na przykrycie od kurzu do powozu lub do wózka dla dziecka. Patrz. ryc. 33 w Nrze 45 i fig. 49. Blado niebieska materja stanowi wierzch i podszewkę. Deseń wywodzi się i podkłada wypukło bawełną na podszewce, następnie przykrywa materją zwierzchnią, obwodzi deseń drobnemi ściegami blado niebieskim jedwabiem, a następnie naszywa podwójną złotą nitką przytwierdzaną przez wierzch ściegami niebieskiego i ponsowego jedwabiu.

N. 5. Deseń na poduszkę do kanapy. Wyszycie krzyżykowe i aplikacja. Patrz ryc. 3 w Nrze 44 i ryc. 11—13 w Nrze 45. W deseniu łączy się haft krzyżykowy i aplikacja z jedwabnego pluszu. Tło stanowi żółtawa kanwa Aida, którą trzeba wszyć w krosna; na niej wyszywa się deseń krzyżowy filozelą w całej grubości, następnie w miejscach wskazanych pod Nr. 5 przyszywa się plusz koloru haftu, długiemi ściegami wskazanemi na ryc. 11. Nakoniec odwraca się krosna na lewą stronę i przymocuje plusz do ściegów krzyżowych cienkim jedwabiem podług ryc. 12. Poczem znowu odwraca się krosna na prawą stronę i ostremi nożyczkami przycina brzegi pluszu wystające gdziekolwiek. Brzegi aplikacji zdobi złoty sznureczek przyszyty niewidocznemi ściegami podług ryc. 13. W miejscach gdzie plusz podług deseniu wypada bardzo wąziutko, nie można go wycinać, lecz wyszycie krzyżowe daje się nawierzchu, jak to widać na ryc. 11.

Tygodnik Mód

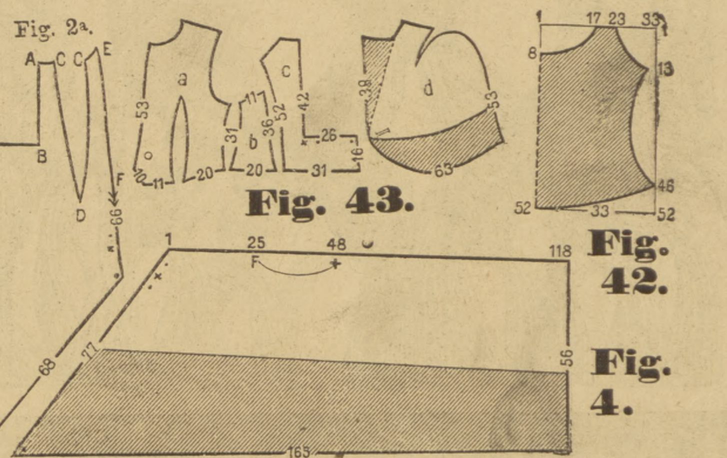
w Warszawie 1886 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 44 i 45.

Nr. I. Ubranie spacerowe (vêtement i spódnica), ryc. 30 w Nrze 44 i ryc. 19 i 21 w Nrze 45.

Miara objętości przez połowę: 50 cent. w gorsie, 32 w pasie.

Fig. 1. Przod (A, B, G, H, I, N, ※)
Fig. 2. Pierwszy i drugi boczek (A, B, C, D, E, F, N, • ✕ 1 i • 1 do ✕ 3 i • 3)
Fig. 3. Połowa pleców (E, F, G, H, :, +)
Fig. 4. Wymiar tylnego bryta (F, +, •)
Pig. 2a. Zmniejszony format, Fig. 2, zestawionej z Fig. 4.
Fig. 5. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 6. Kołnierz (※, :)
Fig. 7. Wskazanie kroju połowy spódnicy (a. połowa przodu, b. bryt boczny, c. połowa tylnego bryta).



Nr. II. Paletocik wcinany, ryc. 1 i 23 w Nrze 44 i ryc. 32 w Nrze 45.

Fig. 8. Połowa przodu, idąca pod spód z oznaczeniem połowy zachodzącej na wierzch (O, V, W, X, :)
Fig. 9. Boczek (O, P, Q, R, S)
Fig. 10. Połowa pleców (Q, R, S, T, U, V, W, ✕ 4 i • 4)
Fig. 11. Rękaw (X, Y, Z, ※)
Fig. 12. Kołnierz (T, :)

Nr. III. Ubranie dla chłopca lat 8—10 (majtki, dwie kamizelki i kurtka, ryc. 18—22 i 33 w Nrze 44.

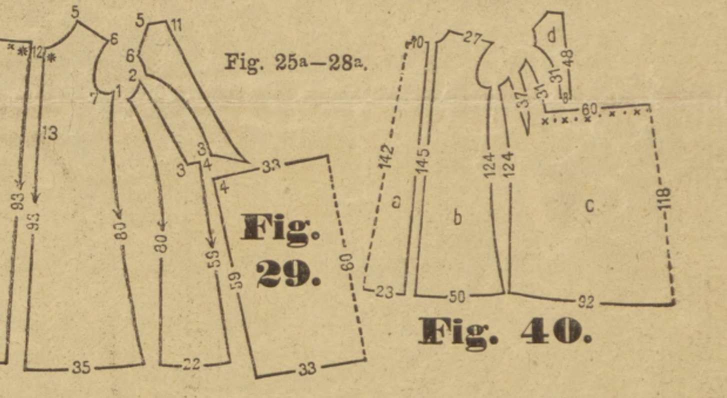
Fig. 13. Połowa majtek (a, b, c, d, e, f, +)
Fig. 14. Pasek ze sprzączką (+)
Fig. 15. Przód kamizelki z krótką baskiną (g, h, i, k)
Fig. 16. Plecy kamizelki z krótką baskiną, z oznaczeniem długiej baskiny (g, h, i k, l, m, n)
Fig. 17. Przód kamizelki z długą baskiną (g, i, k, l)
Fig. 18. Pasek ze sprzączką (m, n)
Fig. 19. Przód kurtki wraz z boczkiem (o, p, q, r, s, t, :)
Fig. 20. Połowa pleców (q, r, s, t, u, ※)
Fig. 20a. Kołnierz wykładany (※, :)
Fig. 21. Rękaw (u, v)

Nr. IV. Sukieneczka wycięta dla małego dziecka, ryc. 29 w Nrze 45.

Fig. 22. Połowa przodu z podszewki z oznaczeniem materjału zwierzchniego (w, x, y, z, ※, +)
Fig. 23. Połowa pleców z podszewki z oznaczeniem materjału zwierzchniego (w, x, y, z, •)
Fig. 24. Rękaw (※, :)

Nr. V. Długi paletot dla panienki lat 10-12, ryc. 36 w Nrze 44 i ryc. 4 w Nrze 45.

Fig. 25. Połowa kamizelki (※, ✕ 5 i • 5)
Fig. 26. Przód (1, 5, 6, 7, 12, 13, ※)
Fig. 27. Boczek (1, 2, 3, 4)
Fig. 28. Połowa pleców (2, 3, 5, 6, 11)
Fig. 29. Wymiar połowy tylnego bryta (4)
Fig, 30. Rękaw (7, 8, 9, 10)
Fig. 31. Połowa stojącego kołnierza (11, 12)
Fig. 32. Ranwers (12, 13)
Fig. 25a—28a. Zmniejszony format zestawionych razem, Fig. 25—29.



Nr. VI. Płaszczyk dla dziewczynki lat 8—10, ryc. 38 w Nrze 44 i ryc. 3 w Nrze 45.

Fig. 33. Przód (14, 15, 18, 19, 21, ★)
Fig. 34. Boczek (14, 15, 16, 17)
Fig. 35. Połowa pleców (16, 17, 18, 19, 20)
Fig. 36. Połowa kołnierza (20, 21)

Nr. VII. Kapelusik dla małego dziecka, ryc. 35 i 39 w Nrze 44.

Fig. 37. Połowa główki (22, 23)

Nr. VIII. Kapelusik dla małego dziecka, ryc. 34 i 40 w Nrze 44.

Fig. 38. Połowa formy (✕ 6 i • 6 do ✕ 10 i • 10)

Nr. IX. Draperja do sukni, ryc. 18 i 20 w Nrze 45.

Fig. 39. Wymiar kroju połowy draperji (a. bryt przedni, b. połowa szarfy [*]).

Nr. X. Szlafroczek z fałdami, ryc. 35 w Nrze 45.

Fig. 40. Wskazanie kroju szlafroczka (a. połowa plastronu, b. przód, c. pierwszy i drugi boczek wraz z brytem tylnym, d. połowa pleców).
Fig. 41. Szlafrok przedstawiony z tyłu.

Nr. XI. Fartuszek dla dziecka, ryc. 30—31 w Nrze 45.

Fig. 42. Wymiar połowy fartuszka.

Nr. XII. Krótkie okrycie, ryc. 24 w Nrze 44 i ryc. 22 w Nrze 45.

Fig. 43. Wskazanie kroju okrycia (a. przód, b. boczek, c. połowa pleców, d. część pelerynowa).

Desenie.

Fig. 44. Suknia ryc. 34 w Nrze 45 przedstawiona z tyłu.
Fig. 45. Część deseniu do ryc. 10 w Nrze 45.
Fig. 46—47. Szlaki do serwety, ryc. 14 w Nrze 44.
Fig. 48. Dalszy ciąg deseniu do Nr. 2 na prawej stronie arkusza.
Fig. 49. Szlak do ryc. 33 w Nrze 45.
Fig. 50. Zmniejszony format kwadratu koronkowego do ryc. 1 w Nrze 45.
Fig. 51. Szlaczek do ryc. 6 w Nrze 44.
Fig. 52. Czwarta część deseniu do ryc. 41 w Nrze 44.

